WINNICA



Nr. 1 **2 zł.**

WINNICA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

POŚWIĘCONY KOBIECIE W ŻYCIU, SZTUCE I ANEGDOCIE

ZESZYT I ROK I

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO „ATENEUM“

ODBITO W DRUKARNI L. S. T. W., LWÓW, UL. LEONA SAPIEHY 77.



Napisał

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Nie wiem, kto wymyślił taki tytuł dla pisma, chrzcząc je z wina; musi to być jednak człowiek, na którego czasem przychodzi natchnienie i który ma łaskę u nieba. Słowo to bowiem jest złote, perli się i szaleje, w kropelce tego słowa jest radość i wrzawa, wielka dobroć i piękny smutek, nadzieja i miłość, uśmiech i łza, — wszystko jest w tem słowie dojrzałem, ciężkiem, bogatem i pełnem ogromnej treści.

Cóż to jest winnica, o przyjaciele?

Winnica jest to taki zakątek, gdzie rośnie słońce.

Zbiera się z powietrza złote słoneczne pyłki, ziarenka blasku, okruchy promieni i sieje się to w ziemię.

Ziemia drży z radości i pieści oddechem złote ziarno. Poczem z tego wyrasta latorośl i pnie się w górę i wyciąga ręce do swego ojca — słońca.

W latorośli tej krąży krew słońca, gorąca jak jego ogień i złota, jak jego szaleństwo. Człowiek wyciska ją z winnego grona, i żywi nią swoje chore serce, które nabiera mocy, poi nią swoją duszę, która dostaje skrzydeł...

Oto jak pięknie powiedziałem ludziom mleko pijącym, albo owym, co duszę zatraciwszy, piją wodę — co znaczy „winnica“! Jeśli straszliwe nawyknienie picia wody, nałóg, który się jeszcze tu i ówdzie zdarza, nie zalał i nie zamulił fantazji ludzi szlachetnych, wtedy na widok takiego słowa powstaną, a uczyniwszy srogi, radosny krzyk, uwielbią je.

Gdyby bowiem na biednej ziemi nie było winnic, umarłaby ziemia. Od nadmiaru zboża i kartofli miałaby brzuch wydęty i zjełczały mózg. Żyła by od rana do wieczora żywotem mizernym i szarym. Nigdy by nie śpiewała. Nie umiałaby walczyć. Nie podniosłaby nigdy oczu na słońce i na gwiazdy.

Anakreont, taką ujrzawszy ziemię, umarłby przy urodzeniu. Horacy nie chciałby się urodzić zupełnie. Na ziemi byłaby pustynia i cmentarz; tam, gdzie stoi Akropol, byłby dziki las, w którym by się biedni ludzie wieszali z rozpaczy.

O, jak straszliwe obrazy!

Świętym owocem świata byłaby fasola, albo bób...

Precz, myśli okropna!..

Miłość byłaby zgryźliwa, jako jędza... Jakżeż mógłby radośnie miłować człowiek, który by pił tylko kobyle mleko?

Po cóż wyliczać przykłady, których jest miljon, a każdy podobny jest do śmierci smutnej i tak przeraźliwie nudnej, jak wykład o abstynencji i szkodliwości wina? Po co wyliczać, kiedy tak być nie może, bo silniejsze jest słońce, niż pani Moczydłowska...

Przeto, upadłszy na kolana, należy wznieść oczy ku niebu i bez słowa, w wielkiem milczeniu podziękować niebu. Niebo się uśmiecha, bo wie, o co idzie. Wie o tem, że człowiek nigdy nie dziękuje za żonę, za dzieci, za deszcz, za spadek, — zawsze dziękuje za wino. Gdyby bowiem niebo chciało ukarać człowieka za jego zbrodnie, wyjałowiłoby winnice. Musi jednak człowiek mieć wielkie łaski w miarodajnych sferach, jeśli go nauczyły cudu uprawy wina. Słusznie tedy Noe stał się wielkim patrjarchą, bowiem ów Barnum wspaniały, ów żeglarz znamienity, praszczur Fajansa, wielkiej dokonał rzeczy upoiwszy się winem i sprawiedliwie potem sprał Chama, słusznie tak nazwanego...

Zasię Mojżesz wielkim i dlatego jest mężem, że, mądrością napełniony, miał cześć dla wina niepomierną. Proroka tego nie mógł złamać Faraon, nie mogła mu nic uczynić pustynia. Kiedy jednak ujrzał grona Kananejskie, wielkości głowy ludzkiej, osłabnął ze wzruszenia.

Któż oprze się potędze ognistej wina? Grek delikatny tak się go bojał, że go gasił wodą, bowiem moc jego była od niego większa. To też go łatwo zawojował srogi Rzymianin, opój wspaniały, któremu ognista góra ogniem swoim i lawą żywiła winnice. W innym zresztą celu Wezuwiusz nie był stworzony. To też straszliwa była moc Rzymu, a Jowisz, opój wyborny, błogosławił mu. Bogowie pili radośnie, zasię ludzie piękne wymyślali sentencje o winie; jedna z nich dotarła do źródła mądrości, mówiąc:

Sapientes sunt qui veteri vino utuntur...

Co się wykłada:

Idjota pije wodę, chory na żołądek pije herbatę, samobójca pije likiery, zakochani jodynę, politycy żółć, kobiety terpentynę, szewcy piwo, stróże wódkę, zaś mędrcy i poeci piją stare wina.

Tak to pięknie i treściwie wyraził wielki znawca wina.

Spójrzcie zaś, o, przyjaciele, jak ciężko los pokarał narody, które się wina wyrzekły. Oto za to, że fałszywy prorok Mahomet, przeklął wino, a uwielbił kumys, pokarała natura każdego Turka tak przeraźliwie, że bez wielkiej litości i współczucia myśleć o tem niepodobna. O, Allah! Akbar Allah! Czasem siedem, czasem dwadzieścia żon zesłał los na takiego nieszczęśnika. To już za wiele, bo i w karaniu człowieka powinno być umiarkowanie...

Tak to fałszywi prorocy wyznawców swoich do nieszczęścia wiodą.

To też człowiek powinien rodzić się w winnicy, w kolebce radości. Leżeć może po śmierci, gdzie mu się podoba, ale rodzić się powinien tam, gdzie Colas Breugnon, wśród złotego wrzasku słońca, gdzie się rodzi i dojrzewa mądrość.

W Polsce niema winnic, dlatego jest smutno. Ludzie się gryzą i piją melancholję. Sztuki życia naucza nas Tabromik.

O, o, o!

To też owi ludzie, których słońce posiało, dręczą się i myślą, jakby wywieść wino z ziemi chłodnej i pracowitej, lecz nie chcącej rodzić złotego szaleństwa?

Oto jakgdybyś na szaleńców patrzył: chodzą, głowy pochyliwszy i sieją w tę ziemię złote słowa wiersza, ów dźwięk słoneczny, ów barwę ze swojej palety...

I mówią:

„Tu będzie winnica, radość rodząca“!

W języku potocznym ludzie tacy nazywają się: „warjaci z mokrą głową“.

I słusznie...



Wojciech Weiss — Akt



KWIATY

Nie będę śpiewał róży, gdy w nią pyłek dotrze,
Nudzi mnie barok mimoz, nuży lilji gotyk.
Inne mnie kwiaty nęcą piękniejsze i słodsze,
Co zmąciły mi myśli, jak słodki narkotyk.
Nie nadawał im imion żaden boski Ronsard.
Przyjdź. poeto i drzwi im raz do pieśni wyważ!
Jakiemż słowem upieścisz je żebrzący w ponsach
Blady, wstydliwy chłopcze, co je nocą zrywasz?
O płatki, kiełkujące na szypułkach młodych!
Kwiaty nocy, pijany których czarem jestem!
W dzień stulone śpią cicho w cieniu żywych łodyg,
Kołysane batystu przeczystym szelestem.
A nocą, wyłuskane czyjąś dłonią drżącą
Z śnieżnej piany koronek na dziewczęcą biel ich,
Rozkwitają nabrzmiałe magnetyczną żądzą
I prężą w upojeniu wpółotwarty kielich.
Wieczorem słychać w ciszy każdy serca obrót,
Gdy czekam przed twą bramą zanim stróż ją otwarł —
Dyszy koło mnie miasta czarodziejski ogród
I po przez ściany sączy swój upojny odwar.
Dzień bije krwią do głowy, noc się w chaos spiętrza
I z dali słyszę szept twój: pójdź, upij i otul!
Gdy rozchyliwszy płatki na krawędzi wnętrza
Trzepocze ci się warg mych purpurowy motyl.

ROMAN CZARSKI



Prababka „Paneuropy"

Napisał
ADOLF NOWACZYŃSKI

MOTTO:

Et cela Madonne des neiges
Un Spihinx blanc que l'hiver sculpta
Ou qui pourre fondre ce coeur
Ou qui pourre mettre un ton rose
Dans cette implacable blancheur
Blanche comme le clair de lune
Sur le glaciers dans les cieux froid...
Teofil Gautier

(Wiersz o pani Marji Calergis-Muchanow).

Wiele się teraz mówi i pisze o Zjednoczonych Stanach Europy i o młodym marzycielu pacyfistycznym hrabiu Coudenhove-Calergis, autorze dzieła: „Paneuropa", agitującym za wieczystym pokojem, za zbrataniem narodów, za nowem „urządzeniem świata", za erą zgody narodów i państw. Autor dzieła o „Paneuropie" stał się modnym pisarzem politycznym, którego teorje, marzenia i plany omawiają lub zwalczają najpoważniejsi politycy. Otóż ten hrabia Coudenhove-Calergis, arystokrata austrjacki, obywatel Czechosłowacji, właściciel pysznego zamku pod Karlsbadem, jest synem Japonki, wnukiem Greka, prawnukiem Rosjanina, praprawnukiem Holendra. Praprababką jego była Polka (Tekla Trzcińska), a prababka, to jedna z najciekawszych kobiet romantycznej i poromantycznej epoki, słynna pani Marja Calergis-Muchanow z domu Nesselrode. Jeżeli jeszcze się przypomni, że rodzina dyplomatów rosyjskich Nessel-

rode wywodziła się ze starych patrycjuszowskich żydów holenderskich, to przypuszczać trzeba, że w obecnym ostatnim potomku Coudenhovych, hrabiu Ryszardzie, płynie istotnie krew wyjątkowo wielu ras i narodów i że to mogło poniekąd specjalnie predestynować go na chorążego idei zbratania ras i narodów.

Nie zawahamy się jednakże stwierdzić, że ucieleśnieniem niejako, czy pierwszem przewcieleniem tej idei paneuropejskiej była właściwie właśnie jego prababka, słynna pani Marja Calergis-Muchanow. Tuż przed wojną wyszły w Lipsku w trzech językach jej „Pamiętniki", wydane przez jej zięcia, dyplomatę austrjackiego hr. Coudenhove; „*La Revue de Paris*" z r. 1923 w czterech zeszytach z Października i Listopada drukowała wielką jej monografję pióra Greka, Konstantego Fotiadesa. W pamiętnikarskiej literaturze drugiej połowy XIX wieku pełno o niej wszędzie bardzo interesujących szczegółów. Najwięcej we „Wspomnieniach" angielskiego ambasadora w Wiedniu, sir Horacego Rumbolda. U nas stosunkowo niewiele: u Stanisława Koźmiana, w niewydanym pamiętniku Faleńskiego, a najwięcej, jak dotychczas, u Krechowieckiego w pracy o Cyprjanie Norwidzie. Czas już, aby któryś lubownik przeszłości, a kobiecości znawca i chwalca, zajął się i tą wielką Polką i obdarzył nas monografją „prababki Paneuropy" ; mam tu na myśli przedewszystkiem wytworne pióro p. S. Wasylewskiego...

Urodziła się i pogrzebioną jest w Warszawie. Może nie była ona przez całe życie swoje dosłownie Polką, ale można śmiało powiedzieć, że była skróś „Warszawianką". Jest jeszcze w Warszawie kilka starszych matron, które były na pogrzebie tej przyjaciółki cesarzów i królów, Egerji poetów i kompozytorów. Trzydzieści kilka osób rano o godzinie siódmej odprowadziło na Powąski karawan najskromniejszy i najtańszy... Taka była ostatnia wola tej wielkiej pani, tej prześlicznej pani, w której kochali się w różnych jej epokach... Musset i... Bismark, Napoleon III i Norwid... tej pani, która była uczenicą Chopina a powierniczką i przyjaciółką Brahmsa, tej pani, którą portretowali Delacroix, Lenbach, i Kaulbach, do której wiersze hołdownicze pisali... Heine i... Felicjan Faleński, tej pani, do której po rady i wskazania polityczne jeździł margrabia Aleksander Wielopolski... i z którą korespondował Fryd. Nietsche!... tej pani, którą i Gladstone i lord Beaconsfield (d'Israeli) uważali za świetny mózg polityczny, którą Berlioz... i Rubinstajn podziwiali jako genialną pianistkę... tej pani, której i Liszt i Wagner dedykowali swe kompozycje, a z którą konferowali poważnie car Aleksander II, cesarz Wilhelm I i królowa angielska Wiktorja...

Szesnaście lat miała panna Nesselrode, bratanica kanclerza rosyjskiego, kiedy ją matka (z domu Górska) wydała w Petersburgu za milionowego kupca greckiego Calergisa. Siedmnaście lat miała, kiedy się z nim rozwiodła i kiedy zaczęło się jej życie burzliwe, życie romantycznej komety, jednej

z tych wielkich Beatrycz, Delfin, Dalil, „druidess“ i harfiarek. „Marie la Polonaise“ nazwała ją rodzina. Od najwcześniejszej młodości nieznosiła Rosjan, a obracała się w towarzystwach głównie polskich. Serce ją ciągnęło do narodu nieszczęśliwego, rycerskiego i romantycznego, do narodu jej matki. Uwielbienie dla Chopina, którego została uczennicą, zadecydowało na całe życie o tem, którą ojczyznę ma uważać za najbliższą, choć właściwą jej ojczyzną było tylko Piękno, była muzyka.

Z Norwidem zetknęła się w Rzymie i tam złamała go na całe życie ta miłość nieszczęśliwa, nieodwzajemniona. Przez trzydzieści lat pełnych uchodziła w Europie za jedną z najpiękniejszych Polek, za *„proffessional beauty“*, za ozdobę królewskich dworów europejskich i salonów rzymskich, paryskich, berlińskich i warszawskich. Do Petersburga nie zajeżdżała nigdy, w Warszawie osiadła w r. 1860 na stałe. Drugi raz wyszła zamąż ta cudna pani również nieszczęśliwie i przypadkowo... za Moskala, za prezesa teatrów warszawskich Muchanowa; brat jej męża oberpolicmajster warszawski ożeniony był z Polką, Jarmondówną, primo voto Lubieńską, jej siostra cioteczna Nesselrode wyszła za Polaka, hr. Ireneusza Chreptowicza, a los chciał, że Marja Calergis, *„Marie la Polonaise“* zakochała się w... Muchanowie! Powstanie w r. 63 cim było dla niej katastrofą wprost straszliwą, gdyż sercem była po stronie polskiej, rozumem po stronie tamtej. Kartki pamiętnika z tych czasów odmalowują w ciemnych barwach to jej tragiczne rozdwojenie. Po powstaniu znów udała się na tułaczkę po Europie, oddając się wyłącznie muzyce, protegowaniu muzyki i artystów. W Monachjum nawiązała się przyjaźń z Wagnerem i z Cosimą Wagner. Uczenica i interpretatorka Chopina stała się zapaloną entuzjastką Wagnera i to i muzyki i ideologji, duchowo i intellektualnie germanizując się dość głęboko. Ale do Warszawy i Polaków ciągnęło ją zawsze. Jako żona prezesa teatrów warszawskich, roztoczyła opiekę nad operą, nad dramatem i nad całą kulturą muzyczną w Warszawie. Zawdzięczali jej dużo A. Kątski, Zarzecki, Wieniawski, a wreszcie najwięcej Moniuszko. Kiedy twórca „Halki“ wyjeżdżał do Wiednia, pani „Kalerdżyna“, jak ją zwano w Warszawie, dała mu list polecający do Wagnera, na który tenże zaraz odpisał:

„Jeżeli Moniuszko przybędzie mnie odwiedzić, to może być pewny, że go najserdeczniej przyjmę; te jego utwory, które mogłem poznać, dają mi wysokie wyobrażenie o jego talencie“...

W „Pamiętniku“ pani Calergis-Muchanow przewijają się wszystkie nazwiska ze wszystkich narodów europejskich jej epoki, w czem stanowczo najmniejszy procent rosyjskich. Z równym entuzjazmem piękna pani Marja odnosiła się do... Musseta jak... do Bismarka, czcząc w jednym Ariela... w drugim genjusz dyplomatyczny. Mówiąc biegle i kunsztownie sześcioma językami, stale pisywała i mówiła po francusku. Trzeba przyznać atoli, że z największym szacun-

kiem odnosiła się do narodu niemieckiego, w innych widząc przenikliwie najrozmaitsze wady, przywary i śmieszności. Nie należy wahać się przed określeniem jej jako „doskonałej kosmopolitki“, aczkolwiek najwięcej gryzła się i martwiła niedolą, nieszczęściami no i charakterem narodowym... Polaków. Aczkolwiek jako wielka uwodzicielka, wielka amoureusa, jako odmiana Ninon de Lenclos, czy pani Recamier, czy lady Hamilton, dużo nagrzeszyła w długiem życiu „biała Syrena“, to jednakże słynne powiedzenie o niej Heinego, że jest Panteonem „*wo alle grosse Männer ruhen*“, stanowczo było za złośliwą i zgryźliwą szarżą ze strony poety, który jej poświęcił piękny wiersz o „białym słoniu“ i był jednym z głosicieli jej genjalności, a wielbicielem jej urody fenomenalnej.

Gdy się dzisiaj czyta „Paneuropę“ jej prawnuka Coudenhovego, tę utopię polityczną o zjednoczonych stanach europejskich, o zbrataniu wszystkich narodów, o życiu sielankowem w wieczystem pięknie, spokoju, zgodzie i harmonji, mimowoli przypomina się ciągle piękna prababka autora, romantyczna Egerja polityków i Beatrycze poetów, ta która w zaraniu życia przytulała się do Chopina i Norwida, a jako dojrzała matrona przyjaźniła z Bismarkiem i Wagnerem... Mimowoli ma się ciągle przed oczyma klasyczny portret Lenbacha tej wielkiej damy, do której romantyczny Gautier pisał wiersz o „Madonnie śnieżnej“, która grywała Chopina na carskiem dworze, będąc niemal dzieckiem, a której domownikami i przyjaciółmi w starości byli... Moniuszko i Faleński („Felicjan“). Jej ojczyzną, w ścisłem znaczeniu, nie była właściwie nawet Sztuka, a była cała Europa, Paneuropa, jej wielkie stolice, jej wielcy ludzie, wielkie talenta, wielkie indywidualności, skojarzone w jakiejś międzynarodowej idealnej harmonji. Z „Pamiętników“ jej wyczytać można jak cierpiała nad „niezgodą“ Polaków z Rosjanami, jak bolała nad nienawiścią Niemców do Francji... Za posłannictwo kobiece uważała godzenie wszystkich ze wszystkimi... Wagner grany w Paryskiej Operze... Moniuszko protegowany przez Wagnera... Bismark zasłuchany w Impromtu Chopina... Paneuropa, Stany Zjednoczone.

Umarła staruszka w wielkiem osamotnieniu. Jej „Pamiętniki“ są książką smutną, melancholijną, posępną. Jedna z najpiękniejszych kobiet świata, jedna z reprezentacyjnych piękności XIX wieku, nadto umysłowość niepospolita, czarująca i pętająca Tytanów świata, bóstwo ziemskie, u którego stóp klęczały narodów i ludów chluby i znakomitości, w swoich czterech ścianach czuła się istotą nieszczęśliwą... samą wśród ludzi...

Czy podłożem psychicznem tej melancholji nie było właśnie jej wykorzenienie narodowe, jej internacjonalizm duchowy, jej nomadyzm romantyczny, jej właśnie paneuropejskość, oto jest problem, który powinien dać dużo do myślenia prawnukowi, hrabiemu Coudenhove-Calergis, śniącemu na jawie o Zjednoczonych Stanach uzbrojonej od stóp do głów Europy.



CZARODZIEJSKA RÓŻDŻKA CIRCE

CLAUDE FARRÈRE



Umykałem właśnie przed omnibusem Madeleine-Bastille, wskoczywszy na wysepkę na skrzyżowaniu ulic, kiedy Arif dotknął mego ramienia.

— Dobrze się składa, właśnie szedłem do siebie! — krzyknął mi nad uchem.

Ogłuszył nas przeraźliwy zgrzyt omnibusu, toczącego się wzdłuż chodnika, a trzydzieści powozów otaczało nas wirującem kołem.

— Słuchaj, stary, musisz dziś przyjść do palarni, będę miał rzeczywiście ciekawy okaz.

— Jakiego rodzaju?

— Dama, która chce palić. Kobieta lat trzydziestu, ma męża, dzieci, kochanka. Wspaniały skończony twór dzisiejszej cywilizacji, ostoja wszystkich naszych przesądów, religji, moralności, zasad społecznych i światowych, jednem słowem istota, dla której gest podania ręki do pocałowania stał się tak naturalnym, jak np. żucie mięsa, które spożywa. Oto, stary druhu, istota, którą dziś wieczorem uraczymy opium.

— Kto ją przyprowadzi, mąż?

— Nie, kochanek. Kochanek nowoczesny, oczywiście nie tyle kochany, ile wybrany rozsądnie dla jego elegancji sportsmena, oraz ze względu na dogodności, wypływające z takiego związku... Zresztą bez żartów, mój drogi, prawdziwie czarująca kobieta.

— A kochanek?

— Ach, ten, to poprostu jeden z wielu, człowiek z towarzystwa, pozatem niesłychanie o nią zazdrosny.

— Chce więc być czemś więcej jeszcze?

— Zapewne, nie odstępuje jej ani na krok.

— Tem gorzej. Do zobaczenia wieczorem.

W ruchomej, zwartej masie powozów utworzyła się szczelina, w którą się szybko wślizgnąłem.

Nie wzruszała mnie zbytnio atrakcja Arifa. Wystarczał mi w zupełności mój własny sąd, warunki zaś, jakimi początkujący palacze usiłują się otoczyć, nie przyczyniają się do spotęgowania wszechmożnego uczucia smaku. Arif pali od chwili objęcia konsulatu w Fu-Tchen, czyli zaledwie trzy lata, ja zaś paliłem zawsze. To też skoro wydzwoniła dziewiąta, pierwszem mojem pragnieniem było powrócić do domu, by tam wypalić swą własną fajkę. W tej samej chwili jednak przejechał autobus z napisem „Grenelle" na latarni. I zdałem się na los...

Arif mieszka bardzo blisko mostu Militair, w małym domku otoczonym wysokimi drzewami.

Wchodzi się przez furtkę w sztachetach, następnie przez ogród, a właściwie trawnik zasadzony akacjami i bukami. Otacza go krata wysoka i opleciona bluszczem, przez którą ani ponad którą nie widać nic, tak, iż może się wydawać, że domek stoi wśród lasu.

Od wejścia ciągnie się aleja zarośnięta mchem, potem ganek, dalej przedpokój, wyłożony białymi i niebieskimi taflami. Jeszcze dalej na lewo gabinet do pracy o dwuch wielkich framugach z oknami wychodzącymi na ogród zamiast ściany. Wszystko to razem jest nader eleganckie, wygodne, nowoczesne i nie zawiera w sobie nic egzotycznego, ani dziwacznego.

Po za gabinetem — palarnia, wązka, a długa, cała obita czerwoną materją i bardzo ciemna, z powodu gęstego bluszczu, rosnącego tuż pod oknami, ciemna, jak rembrandtowska akwaforta. Lubię tę palarnię zgoła nie podobną do reszty domu i tak różną od tego wszystkiego, co widzi się w Paryżu, a nawet nietylko w Paryżu. Żadnego umeblowania, żadnych cacek, nic rzeczywistego i widocznego, na czem mogłaby spocząć myśl, nic prócz niemych makat na ziemi i pustki, ujętej w cztery ściany krepy koloru krwi. Noc, lampa służąca do zapalania opium oświetla słabo te cztery ściany, lecz pusty środek pokoju tonie w mroku, nigdy nie umiałem sobie wytłómaczyć — dlaczego...

Palimy, Arif i ja, leżąc na boku, przedzieleni tacką z opium.

— Kiedy zadzwonią — mówi Arif, okręcając igłę nad lampką — pójdziesz otworzyć furtkę. Przechodząc jednak przez gabinet, weź z kozetki burnus i narzuć na swój strój.

— Nie zimno mi.

— To nic, wiesz przecież, że poza palarnią te chińskie suknie rażą. Należy unikać wszystkiego, co razi.

Ponieważ zdążyłem już wypalić ośm fajek, usłyszałem przeto bardzo odległy turkot motoru i zgrzyt gum o żwir, otwarłem więc kratę zanim jeszcze zdążyli zadzwonić.

— Proszę — rzekłem.

Kobieta stojąca w kapturku swego *sortie de bal*, zawahała się. Eleganckiego pana zaniepoiła moja długa broda i biały burnus, z pod którego wyglądał rękaw haftowany jedwabiem.

— Ale wszak pan Arif... — zaczął.

— Arif jest moim przyjacielem. Państwo będą łaskawi wejść.

Dama wsunęła nieco lękliwie rękę pod ramię kochanka i poszli wślad za mną aleją bukową.

Ona weszła pierwsza; w przedpokoju rozchmurzyła się już zupełnie. W gabinecie poprosiłem ją, by zdjęła okrycie. Zaciekawiona rzuciła okiem na stół zarzucony książkami, na akwarele zdobiące ściany i na akacje, zdające się wdzierać do wnętrza przez szyby framug okiennych.

Odwróciła się od swego kochanka:

— Cudownie, nieprawdaż, mój drogi? Co za wymarzona garsonjera.

Bez cienia pruderji odwróciła się od obrazka Ropsa zbyt nieco realistycznego, by podziwiać kadzielnicę.

— Wszystko tu takie gustowne. Prawdziwy artysta z pana Arifa. A jakiego czarującego ma przyjaciela. Czy dawno panowie się znają?

Usiadła uśmiechnięta, swobodna, światowa. Czekała na pana domu, nie podkreślając zdziwienia, że to nie on wyszedł na jej spotkanie. Widocznie wyobrażała sobie, że nadejdzie, usprawiedliwiając się ze swego uchybienia i uroczyście poprowadzi ją do stołu na kolację.

Opium to zapewne taki wielce aromatyczny papieros, który pali się między jednym, a drugim kieliszkiem mumma.

Pan ze storczykiem w butonierce, kochanek, stał, trzymając na lewem ra-

mieniu płaszcz. W twarzy jego czytałem pogardliwą naganę za ten kostjum karnawałowy, w którym mnie widział i za to wszystko, co go raziło, a co zdawał się przeczuwać w tym domu, dokąd wszedł niechętnie, jedynie dla dogodzenia kaprysowi pani swego serca.

Ona, spostrzegłszy lustro, podniosła się, by poprawić włosy zlekka zwichrzone balowym kapturkiem. W lustrze pochwyciłem jej prawdziwe spojrzenie skierowane na mnie — spojrzenie żywej kobiety. Trwało to sekundę, odwróciła się i wzrok jej znów był obojętny.

Nie pozwoliłem jej usiąść ponownie.

— Może pani zechce teraz wejść.

Otwarłem czerwoną palarnię, tonącą w cieniu.

Postąpiła parę kroków i zatrzymała się.

Arif palił. Jego sylweta w czarno-niebieskim jedwabiu słabo rysowała się wśród kłębów dymu, unoszącego się nad matami. Widać jednak było, że się nie poruszył, że może nawet nie zauważył wcale naszego wejścia. Cisza, jakby zmaterjalizowana przez delikatne dźwięki, jakie wydaje przypalane nad lampą opium. W palarni zrzuciłem burnus i przymknąłem drzwi, aby usunąć wszelki wpływ zzewnątrz. Potem powróciłem na swe miejsce naprzeciw palącego Arifa.

Arif kończył właśnie wdychać czarną truciznę, przewrócił się na wznak i oparłszy kark o skórzaną poduszkę, przemówił:

— Pani, palarnia jest do jej rozporządzenia.

— Jak pani zauważa, opium pali się w pozycji leżącej. Jeśli więc nie życzy sobie pani zmiąć swej tualety i będzie czuć się swobodniej w miękkiej, luźnej szacie, to mam tu cytrynowo-żółte kimona, które doskonale będą harmonizowały z pani bladą cerą...

Zdumiona spojrzała na swego towarzysza, poczem odpowiedziała z wysiłkiem:

— Dziękuję, będę palić w mojej sukni.

Usunąłem się, aby zrobić jej miejsce na macie obok tacki. Ramieniem potrąciłem o imbryk z herbatą. Napełniłem filiżankę i podałem jej. Zawahała się, oszołomiona aż do nietaktu.

— Czy to naprawdę herbata? — wyszeptała, nie biorąc filiżanki.

Spokojnie wziąłem kubek i wychyliłem go sam.

Zarumieniła się i by ukryć zmieszanie, ułożyła się natychmiast wzdłuż tacy, otulając stopy suknią i bacząc, by nie dotknąć mego ciała, wyciągniętego tuż obok.

— Jak to się robi? — zapytała zakłopotana.

— Wciąga się odrazu całą piersią, póki tchu starczy.

Ujęła wargami jaspisowy ustnik fajki i dziewicze jej płuca poczęły zwolna wchłaniać narkotyk.

Nie patrzyłem na nią zupełnie. Nic mnie to wszystko nie obchodziło. Zresztą musiałbym zwrócić głowę w prawo, leżałem bowiem nawznak z oczyma utkwionymi w czerwień ściany. Kochanek stał oparty o mur. Szary dym wił się kłębami między nim, a mną, po przez ten dym wydawał mi się ów człowiek nierealnym, on, który nie palił, coś pośredniego między człowiekiem a larwą.

Bez tchu wypuściła fajkę i rzuciła się sztywnie w tył. Usłyszałem stuk jej grzebienia o podłogę i szelest mat, szarpanych paznokciami obydwu rąk.

Arif w milczeniu nabrał znów kroplę opium na koniec igły i przygotowawszy nową fajkę, podał mi ją.

By móc pociągnąć, musiałem oprzeć się policzkiem o prawe ramię palącej. Ona, przed chwilą taka płochliwa, nie drgnęła, nie poruszyła się nawet.

— Dla pani — powiedział następnie Arif.

Obróciła się natychmiast i odebrała od niego truciznę.

Podczas gdy paliła, Arif mówił, nie przestając obracać kawałeczka opium nad płomieniem.

— To nudne nazywać cię panią. Nie znam twego imienia, a zresztą może być brzydkie, mniejsza z tem. Więc nazwijmy cię mianem kwiatu. Dobrze?

— Kwiatem Lotosu — poddałem.

Nie przerwała palenia, aby odpowiedzieć. Dopiero po wypróżnieniu bambusa, gdy palenisko oczyściło się znowu, poczekała jeszcze, aby wchłonąć upajający czar narkotyku, przyprawiający mózg jej o chaos, wreszcie wyszeptała:

— Kwiat Lotosu, tak!

Oparłem znów policzek o jej ramię, aby pociągnąć z fajki. Tym razem ruchem bardzo naturalnym pogładziła lekko lewą dłonią moje włosy.

Potem zaczęła mówić śpiewnym głosem, z zamkniętymi oczyma.

— Tak mi dobrze. Zdaje mi się, że jestem znów maleńką, białą dziewczynką, nie czuję ciężaru ciała. Co za rozkosz!

Milczała długo, aż przyszła na nią znowu kolej pociągnięcia z czarodziejskiej fajki.

I znów zaczęła mówić:

— Jak mi dobrze... zdaje mi się, że nie miałam nigdy męża, ani przyjaciela...

Arif podał mi fajkę. Raz jeszcze oparłem głowę na jej ramieniu. Ręka jej musnęła mój policzek, szyję i przez wycięcie chińskiej sukni pieścić poczęła mą obnażoną pierś.

Wypaliwszy fajkę pozostałem na swem miejscu. Trzymaliśmy się w objęciach prawie, jak para kochanków.

Wyszeptała:

— A przecież nie znam ciebie wcale... Gdybyś mnie spotkał przed chwilą na ulicy i gdybyś ośmielił się musnąć mą dłoń, wymierzyłabym ci policzek...

A po chwili znów szept:

— Podobasz mi się...

Szary dym gęstniał, stając się coraz mniej przezroczystym. Wśród czerwonych ścian panowała zupełna ciemność. A stojący wciąż w głębi palarni kochanek zwolna rozpływał się w kłębach opium.

Mimo to wyczuwało się go tam jednak, jego, tego profana.

Kwiat Lotosu spoglądała od czasu do czasu w stronę intruza.

Po dziewiątej fajce uniosła wreszcie głowę.

— Idź sobie — powiedziała.

Poruszył się. Doszedł nas jego zdumiony bełkot:

— Ależ... jakże... Ty?...

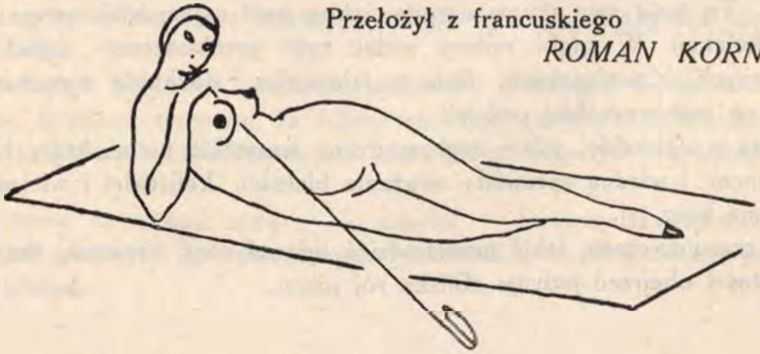
Powtórzyła:

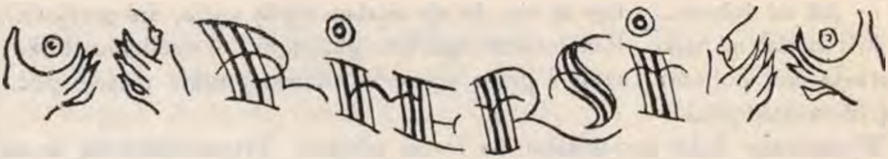
— Idź sobie!

Usłyszałem stuk drzwi palarni, potem w dali, lecz nie mniej wyraźnie dla mych wysubtelnionych uszu, trzask zamykanej kraty.

Wtedy Kwiat Lotosu mocno przylgnęła wargami do mych warg...

Przełożył z francuskiego
ROMAN KORNACKI





Napisał

RAMÒN GÒMEZ DE LA SERNA

HANDLARZ PIERSI NA WSCHODZIE

W niebieskim cieniu ulicy, gdy słońce złociło brzegi dachów, handlarz piersi drzemał na progu wielkiego konfesjonału: baraku ze skrzyżowanych desek. Tu palił swe długie nargile, jakby palił najbardziej marzące z piersi swej kolekcji. W głębi rudery widać było przebudzenie nagich kobiet, rozłożonych na poduszkach. Była to fala cicha i delikatna o ruchach noworodka na macierzyńskiej pościeli.

Sjesta w tej budzie, gdzie nagromadzono wszystkie piersi, których handlarz był panem i władcą sprawiała wrażenie białości, kulistości i wielości, jakie wywołuje kosz jaj.

Od czasu do czasu, jakiś przechodzień udawał chęć kupienia, chcąc w rzeczywistości obejrzeć jedynie zblizka rój piersi.

— Nie wolno dotykać!... Ogląda się nie ruszając!... Należy wybrać z odległości!... — powtarzał cierpko kupiec, cedząc słowa.

— Ależ ta kobieta nic nie jest warta, — mówiono niekiedy, wskazując kobietę zwiędłą, lub zbyt brzydką.

— Nie jestem handlarzem kobiet, jestem handlarzem piersi, — powtarzał, zupełnie słusznie, badał bowiem wszystkie napotkane kobiety, nawet najbrzydsze i w ten sposób wyszukał najbielsze i najpiękniejsze piersi z całego Wschodu.

Kto sądziłby o orzechu kokosowym z jego skorupy, nigdyby go nie znalazł.

Przeciwnie, nie ufał pięknościom, które miewają piersi podejrzane, lub podobne kieszeniom bankruta.

Handlarz otaczał swe piersi najtroskliwszą pieczą i na całym świecie nie znalazłoby się może równego mu pod tym względem stylisty.

— Dajalo, podnieś się trochę — mówił zwracając się w stronę, w której panował półmrok, a gdy Dajala usiadła na poduszkach, zwracał się do kupującego:

— Zauważ pan, te piersi, odpowiednio daleko od siebie osadzone, są jakgdyby siedliskiem jej urody...

— Aelaido, podnieś się, lub wyciągnij rękę, jeśli wolisz, bym wiedział gdzie jesteś — kończył słodkawym głosem.

I Aelaida wyciągała gdzieś w kącie klatki na dzikie zwierzęta, nogę, piękną, jak kandelabr lub wielka kadzielnica. Wówczas zbliżał się z kupującym, przeskakując przez leniwe trupy bezwładnych kobiet.

— Spójrz pan — mówił do kupującego, — te piersi w przeciwieństwie do tamtych, bardziej plastycznych, lecz mniej gorących, tulą się do siebie, jak dwa gołębie, szukające nawzajem swych dziobów, a zapałka zapala się w ich pobliżu.

Ten przegląd piękności, odcieni i zwinności przeciągał się w nieskończoność, jeśli handlarz zauważał, że klijent szukający pary piersi, jeśli nie jednakich, to przynajmniej zbliżonych, był człowiekiem bogatym lub znającym się na rzeczy.

— Możemy zawezwać znawcę — mawiał — możemy zawezwać znawcę, by dokonał pomiarów geometrycznych i stwierdził, że są jednakie, jak dwie połowy bóstwa.

DZIEWCZYNKA O OBWISŁYCH PIERSIACH

Dziewczynka o obwisłych piersiach jest z nich bardzo dumną. Chlubi się nimi, jak piersiami kobiety. Są to jakby piersi matki, które ubrała do wyjścia. I ten jedyny mężczyzna, który weźmie te piersi, weźmie je ze wzruszeniem, jakby dotykał się piersi kobiecej. Dlatego będzie miała wielką moc nad rówieśnikami. Będzie się z nimi obchodziła, jakgdyby była doświadczeńszą i dojrzalszą od nich, a oni wszyscy będą szaleć z miłości ku niej.

WĘŻE I PIERSI

Pięknym przykładem przenikliwości i obżarstwa jest obraz wężów, które przychodzą kraść mleko matkom. Wślizgują się, wyprężone z rozkoszy od głowy do ogona na samą myśl o ich piersiach i ostrożne, jak ręka złodzieja skradającego się, by wykraść skarb z kieszeni piersi, szukają po omacku jej szczytu i ssą.

Potem całe ich nasycone słodyczą ciało przebiega dreszcz nieporównanej rozkoszy, małe ich oczki wpatrują się, jak zahypnotyzowane w słodki cud, podczas gdy ogon ich porusza się wesoło, jak batuta kapelmistrza dyrygującego w takt upajającej i powolnej melodji.

WERSETY

Są piersi skrzydlate, trzepoczące się, jak gołębie schwytane za łapki.

Czasem zauważamy, że jakieś piersi nie harmonizują z głową ich właścicielki.

Wzruszenie i wstrząs, jaki wywołują przywiążą do nich na zawsze tych, których zdobyły.

* * *

Są piersi pełne spokoju.
Są piersi pełne boleści.
Są piersi pełne namiętności.
Są piersi pełne rozdźwięku.
Są piersi pełne trucizny.
Są piersi pełne niespodzianek.
Są piersi pełne litości.
Są piersi pełne oszczędności.
Są piersi pełne hipokryzji.
Są piersi pełne kompotu z jabłek.
Są piersi pełne powietrza, jak baloniki.

* * *

U kobiet żyjących nago na łonie przyrody, zauważano, że gdy leżały wyciągnięte na słońcu, najzupełniej spokojne i samotne, piersi ich wystawiały maleńkie różki ciekawe i łakome.

* * *

Piersi powinny beczeć, powinny beczeć głosem wzruszonym i przejmującym. A może nawet krzyczeć?

* * *

Powinnyby istnieć kobiety o piersiach niebieskich, różowych, czerwonych.

* * *

Pewien młody człowiek nie przestawał żartować z piersi porównując je do dzwonka i naciskając guzik sutki:

Dziń.
Dziń.
Dziń.
Aż pewnego razu dzwonek piersi zaczął dzwonić.

Z oryginału hiszpańskiego przełożył

M. J.



Kisling — Akt

REMY DE GOURMOND

z cyklu „Kolory“

Różowy

Właściwie było to jeszcze dziecko. Nie ubierano go już, jak chłopczyka, ani jeszcze, jak mężczyznę. Twarz miał szczupłą, włosy kędzierzawe; rósł w oczach, podczas sezonu grywał w kręgle, z dziewczynek zaś wyśmiewał się przez cały rok. Nigdy jednak nie wyśmiewał się z Krystyny, ponieważ była od niego starszą o dziesięć lat i wydawała mu się damą, jak jego matka, damą młodszą i niezamężną. Kochał ją za to, że była dobrą, dowcipną i wesołą. Życie jest czemś, co powinno się śmiać, myślą o niem mali chłopcy i jeśli się nie śmieje — nie żyje się. Wszystkie przyjaciółki Krystyny były za mężem w różnych okolicach. Krystyna jeździła do nich w odwiedziny w nadziei znalezienia męża w którejś z tych okolic, ponieważ jednak nie miała posagu, nie było to rzeczą łatwą. Często bywała z wizytą u matki małego chłopca, ponieważ domy ich sąsiadowały ze sobą i ponieważ ojciec chłopca, zapalony zbieracz sztychów, przyjmował u siebie często bogatych amatorów, którym lubił pokazywać swe zbiory. „Kto wie?“ — były to jego słowa. Ona powtarzała je z całem zaufaniem patrząc w przyszłość. Miała już dwadzieścia pięć lat.

Latem przyjaciółki Krystyny zbierały się na małej plaży bretońskiej i ta z nich, która miała najobszerniejszy dom, gościła u siebie Krystynę, której rodzice starzy i słabowici nie lubili ruszać się z miejsca. Wszystko to razem tworzyło zbiorowisko najweselszego dzieciństwa i młodości. Tam mały chłopiec stawał się istotą jeszcze bardziej rozdwojoną. Nie wiedział sam, którego ze swych popędów słuchać: stawianie przypływowi morskiemu zapór z kamyków było nielada pokusą; pozostanie i czytanie młodym kobietom, które szyły, w ich liczbie i wyszywającej Krystynie, było również rzeczą nader ponętną.

Wówczas rozdwajał się i gdy zdawało mu się, że już dość długo był człowiekiem poważnym, biegł do zupełnie małych dzieci brodzić z radością w piasku obryzganym pianą. Tak upłynęło kilka dni, aż pewnego dnia zbieracz sztychów otrzymał tajemniczy list:

— Szanowny panie, wyjazd pański, o którym dowiedziałem się, zaszedłszy do Pana ostatniego czwartku, pokrzyżował mój plan, o którym marzyłem od jakiegoś czasu. Niecierpliwość nie pozwala mi oczekiwać pańskiego powrotu. Czy będę bardzo natrętnym, jeśli pozwolę sobie zakłócić Panu jego samotność nad brzegiem morza i przybędę tam na jakiś czas?

Podpis: Durand, członek Instytutu, przypomniał zbieraczowi sztychów gościa, którego przyjmował u siebie dwa lub trzy razy i który podczas swej ostatniej wizyty zdawał się być bardzo roztargnionym. Przypomniał mu również, że była z nimi wówczas Krystyna i że od pierwszego razu p. Durand powitał ją ze szczególnym szacunkiem, mówił do niej bardzo łagodnie i wychodząc zapomniał teczki z rzadkimi sztychami

Krystyna zdobyła męża.

Nikt w to nie wątpił, gdy dowiedziano się, że p. Durand zamieszkał w hotelu „de la Plage“ i oświadczył, że tam dokończy swych wakacji, oddając się przytem poważnie lekkim rozmowom z młodymi kobietami.

Mały chłopiec znienawidził go od pierwszego dnia. Myślał: „Ten nie jest bynajmniej amatorem sztychów, on jest amatorem Krystyny“. Myśl ta prześladująca go często, wyrwała mu się raz głośno przed matką, która skarciła go za to surowo, z trudem powstrzymując się jednak od śmiechu. Odtąd nikt nie nazywał p. Duranda inaczej, jak „amatorem Krystyny“ i przezwisko to miało mu już pozostać na całe życie. Było to zresztą jedyne napomknienie o małżeństwie, które dojrzewało w milczeniu.

Pod koniec miesiąca, kiedy zaczęto już ogólnie mówić o odjeździe, p. Durand poprosił zbieracza stychów o chwilę rozmowy na osobności i powiedział:

— Odjeżdżam. Postanowienie moje utwierdziło się. Stanowczo jestem amatorem Krystyny.

— Ach! Pan słyszał?

— Tak, słyszałem z radością. Dowodzi to, że mnie zrozumiano.

— A cóż ona?

— Sam — nie śmiem.

Zbieracz sztychów podjął się zadania połączenia Krystyny z Durandem.

Krystyna zrobiła zdziwione oczy. Pan Durand pocałował, rumieniąc się, małą posłuszną rączkę i Krystyna zrozumiała, że człowiek ten kochał ją i pragnął jej szczęścia. Myśl ta uczyniła ją szczęśliwą. Z trudem wyrwała się przyjaciółkom wśród powinszowań i pocałunków. Wbiegła do swego pokoju i usiadłszy na oknie zapatrzyła się na morze, które znajdowała w swej naiwności podobnem do nieskończoności swego życia.

Marzyła tak czas jakiś, gdy wtem z zamyślenia wyrwał ją jakiś niewyraźny szmer. Natężyła słuch. Zdawało jej się, że ktoś łka. Podniosła się i rozejrzała po pokoju. Na kolanach przy jej łóżku, z głową ukrytą pod kołdrą płakał mały chłopiec.

Zbliżyła się doń i biorąc dziecko za ramiona podniosła je i przyciągnęła ku sobie.

— Co ci jest, mały?

— Krystyno! Krystyno!

— Cóż takiego?

— Och! Krystyno!

— Siądź przy mnie i powiedz, co ci jest.

Osunęła się na łóżko wzruszona tym wielkim smutkiem. Gdy chłopiec siedział już przy niej z głową opartą na jej ramieniu, pytała dalej.

— Gniewano się na ciebie?

— Nie.

— Boli cię co?

— Tak.

— Cóż cię boli?

— Nie wiem.

— Więc, powiedziała brutalnie, bądź nareszcie mądry i mów.

— Och, Krystyno i ty się na mnie gniewasz, ty którą tak kocham.

Wtedy Krystyna zrozumiała i uczuła strach przed miłością tego dziecka, lecz słowa jego wzruszyły ją i chcąc naprawić poprzednią brutalność przycisnęła go do piersi.

— Krystyno, on cię zabierze, a wtedy?

— Ależ nie, zostanę z wami, z tobą. To nie prawda. Zapewniam cię. Będę was odwiedzać, jak zawsze i będę cię kochać, mój mały.

— Ja ciebie tak kocham!

Ręce niewinne, a ciekawe ściskały Krystynę i łasiły się do jej ciała. Spojrzała nań zmieszana rozmarzonymi oczyma, które szukały jego oczu. Spojrzała na młode jego usta i usta te podniosły się do jej ust i złączyły z nimi w długim pocałunku. Pozostali tak długo, potem upadli blizcy omdlenia na łóżko. Mały chłopiec pierwszy otworzył oczy i instynkt rzucił go na Krystynę. Odpiął jej stanik i pieścił słodkie jej ciało, zanurzając ręce pod ramiona... Krystyna drgnęła, wyprężyła się, a widząc się rozebraną, wyszeptała:

— Tak, mały, pocałuj mnie w serce. Daj mi pierwszy pocałunek miłości.

I mały ściskając oburącz napęczniałą pierś Krystyny, przytulił swe szczęśliwe usta do bladej róży, falującej i bliskiej rozkwitu. Ona krzyknęła, jak ukąszona, podniosła się, poprawiła suknię i rzekła:

— Dobrze, jestem zadowolona. Czuły, mały przyjacielu, będę cię zawsze kochała. Zachowaj smak mego serca. Kto wie?

Przełożył z francuskiego

BRONISŁAW IWANOWSKI





To się stało nad morzem, tam gdzie kobalt i sjenna,
Gdzie nie widać przechodniów i pojazdów jest mniej,
Nocą grała królowa w baszcie zamku Szopena
I przy dźwiękach Szopena paź zakochał się w niej.

Wszystko było tak prosto, wszystko było tak miło.
Pani dała paziowi obrać jabłko u nóg
I kazała mu nadgryźć i do łez zamęczyła
I do łez zapragnęła w spazmach sonat i fug.

Całą noc oddawała się, oddawała furioso,
Niewolnicą królowę zastał w łożu jej świt...
To się stało nad morzem, tam gdzie piana, jak ozon,
Gdzie paziową sonatą grają fale o szczyt.

przełożył

B. J.



Lepsze czasy, niźli teraz są...

Napisał

BRUNO WINAWER

W każdem większem zbiegowisku jest poważny procent tych ludzi — stosunkowo najwięcej bywa ich jednak w kawiarni, pod zegarem, na herbatkach tańcujących, pod piecem i na premjerach teatralnych, w pierwszych rzędach krzeseł. Patrzą na teraźniejszość okiem zamglonem, kiwają głowami pobłażliwie, wzdychają raz po raz i szepcą, ruszając bladymi wargami: dawniej... dawniej!... dawniej!!...

Dawniej, proszę państwa, kobiety były urodziwsze, tańce były piękniejsze, panowie byli weselsi, dekolty były bardziej marmurowe, sztuki teatralne bardziej wzruszające, słońce grzało mocniej, poeci rymowali lepiej, ptaszęta ćwierkały radośniej.

Trudno dociec, kto właściwie taką opinję czasom przeszłym wyrabia: historycy, którzy z tego żyją? Starsi panowie, nieco zblazowani w stanie kawalerskim i pozbawieni wrażliwości? Niewiadomo. Pewne jest tylko to jedno: poważny odsetek naszych współczesnych wierzy niezachwianie, że niegdyś — dawniej — każdy mąż stanu był Juljuszem Cezarem, każdy autor dramatyczny Szekspirem, każdy żołnierz bohaterem i każdy wróbel kanarkiem.

Na scenach naszych teatrów operowych widujemy w seledynowem świetle reflektora markizów w jedwabnych fraczkach, margrabiny w białych perukach — i dębiejemy z zachwytu: Boże, jakie to było cudne... Trzeba dopiero z pożółkłych szpargałów historycznych wydobywać z trudem na światło dzienne ten prosty fakt, że pod pudrowaną peruką pana markiza, robactwo wyprawiało dzikie harce i że owe piękne czasy musiały wymyślić specjalny

przyrząd posrebrzany do zabijania niektórych natrętnych i uszczypliwych owadów. W szkołach, powieściach, w sztukach historycznych obełgiwano nas strasznie i dziś dopiero — dzięki badaniom własnym — przejrzeliśmy, zaczynamy patrzeć trzeźwo. Widzimy, jak wykwintny margrabia brnie przez gnojne góry Paryża — Paryża Ludwików! — jak omija cuchnące kałuże i strzepuje z żabotów pomyje, którymi go oblano na ulicy pryncypalnej słynnego miasta. Nie łudźmy się — w owych pięknych czasach stolica świata przypominała wyglądem i zapachem dzisiejszy Drohobycz. Wyznajmy też raz wreszcie prawdę: Szekspir nie jest poetą wieku siedemnastego. Znało go wówczas kilku panków, kilku dworaków elżbietańskich — nie istniał. Istnieje dziś dopiero, za naszych podłych czasów, kiedy jego dzieła nabyć można za kilka dydków w każdym sklepiku księgarskim, kiedy go grają od bieguna do bieguna w każdym teatrzyku na Hipotecznej. Kiedy jego słowa brzmią w wszystkich językach ziemi, kiedy je odbijają maszyny rotacyjne, rozwożą maszyny lotnicze, roztrąbują po świecie radjofony. Gdybyśmy przyszli na ten padół w błogosławionym wieku XVII, moglibyśmy się dochować wnuków i prawnuków, zamrzeć w wieku zgrzybiałym, nie znając nadwornego poety nawet z nazwiska. Uderzmy się w piersi i powiedzmy sobie szczerze i wyraźnie: wycieczka w przeszłość, w owe złote okresy i gromkie epoki byłaby doprawdy bardziej uciążliwą od wyprawy do Tybetu i na Mount Everest. Nie mówiąc już o ten, że byłaby zabójczo nudna...

Wyobrażam sobie chwilami, że niejaki pan Omtadralski, który piórem i żywem słowem zapalczywie zwalcza teraźniejszość, zaopatrzony w specjalny glejt z warszawskiego Komisarjatu Rządu jedzie w epoki odległe i ma prawo stanąć, gdzie mu serce dyktuje. Może, dzięki protekcji, maszerować z Napoleonem na Moskwę, albo z Kolumbem odkrywać Amerykę. Naturalnie wybiera to drugie, siada 3 sierpnia na wątły, śmieszny, cuchnący smołą i olejem żaglowiec, aby dopiero 12-go października wylądować na dalekiej wyspie, po tamtej stronie wielkiej wody. Przez dziesięć długich tygodni słucha poetycznego ryku fal zamiast nowoczesnych jazz-bandów, moknie na deszczu, śpi — jak flisak — w nędznej budzie na kupie brudnej słomy, jedyną jego rozrywką — jak to zresztą pięknie opisał mądry Mark Twain — jest nieduże jajo kurze, które co chwila wyjmuje z kieszeni i stawia sobie sztorcem na burcie, nudzi się, jak mops ostatni, żeby wreszcie — wytrzęsiony na nic

chorobą morską — odkryć Amerykę. W podłych czasach naszych fruwający Lewjatan — „Z. R. III. Los Angelos“ — zaniósłby go w ciągu 70-ciu godzin lotem huraganu z nad jeziora Bodeńskiego do Nowego Jorku. Miałby na pokładzie kuchnię elektryczną i mógłby rozmawiać radjotelefonicznie z domem i gwarzyć z ciotkę Euzebją o pogodzie i zdarzeniach politycznzch.

W podłych, tępych, nieciekawych czasach naszych wymyślono rotor Flettnera — prostą maszynkę, dwa wirujące, lekkie cylindry blaszane — rotor, który właśnie wytwarza w powietrzu te same zgęszczenia i rozrzedzenia, co i buńczuczna płachta żaglowa. Zamiast całych brygad spoconych, spracowanych ludzi, zamiast owych odwiecznych „hisuj! zwijaj! topżagiel! rudel! takiel!“ jeden człowiek naciśnięciem guzika wprawia w ruch obrotowy dwie okrągłe blachy i zmusza najbardziej rozpętany huragan, aby go pchał łagodnie w dowolnym kierunku.

Ale to wszystko pana Omtadralskiego nie przekona. Siądzie pod drzewkiem wigilijnem i będzie wzdychał: dawniej! dawniej!! dawniej!!!

Natomiast w Piśmie, mili parafjanie moi, wybito mocnymi głoskami, dawno, to zdanie wiekopomne:

„Nie mów: co za przyczyna iest, że pierwsze czasy lepsze były niźli teraz są? bo głupie iest takowe pytanie“.

Ekklez. Roz. 7 11.





Napisał

ILJA ERENBURG

Niektórzy sądzą niesłusznie, iż opalić fajkę równie łatwo, jak zamieszkać nowy dom. To ostatnie dostępne jest dla każdego, za wyjątkiem chyba reumatyków. Fajkę zaś opalać mogą tylko nieliczni. Żadne drukowane traktaty, żadne mądre wskazówki handlarza tytoniu nie zastąpią wrodzonych zdolności. Kiedy niemowlę w kołysce bawi się grzechotką, los jego właściwie jest już przesądzony. Jeśli krzyczy ono i śmieje się bez powodu, klaszcze w dłonie, wypada z kołyski w pogoni za muchą, jednem słowem przedstawia splątany kłębek ludzkich namiętności, lepiej zawczasu ustrzedz go przed pokusą stania się prawdziwym palaczem fajki i ofiarować mu po ukończeniu liceum damską papierośnicę z maleńkimi uperfumowanymi papierosami. Bowiem człowiek biorący w zęby fajkę winien odznaczać się najtrudniejszymi z cnót: beznamiętnością wodza, małomównością dyplomaty i niewzruszonością szulera.

Nic dziwnego, że tylko na jednem miejscu naszej zbyt szybko obracającej się planety można oglądać fajki dobrze opalone. Miejscem tem ma się rozumieć jest wyspa zwana Wielką Brytanją, oddzielona od pozostałych ziem wodą i mądrością, wyspa, na której we wspaniałem odosobnieniu mieszkają miljony bryttów, z których każdy podobny jest do takiej samej wyspy z odpowiednią ilością dróg wodnych.

Z pośród moich fajek jedna zwraca na siebie uwagę czernią drzewa i subtelnym, nieuchwytnym zapachem. Fajkę tę nietylko zrobiono w Anglji z twardego korzenia szkockiego wrzosu, opiewanego przez tylu poetów, lecz opalił ją również prawdziwy Anglik. Śmiem nawet twierdzić, że moja fajka „E. X. 4." byłaby unikatem godnym ozdabiać wystawę fajek urządzaną co roku w klubie palaczy Edinburgu, gdyby nie pewien smutny incydent, który pozbawił ją wielu zalet, lecz przyczynił się za to do tego, że zamiast w zamszowym futerale lorda Graytona znalazła się ona w kieszeni skromnego rosyjskiego poety.

Lord Edward Grayton był pierwszym palaczem Anglji dzięki wyjątkowej równomierności swego oddechu. Nigdy przez całe 52 lata swego szlachetnego żywota nie doświadczył on ani uczucia gniewu, ani zachwytu, które mogłyby odbić się ujemnie na jego umiłowanych fajkach. Oddech ludzi opanowanych przez namiętności jest nierówny i przypomina tchnienie wiatru. Lord Edward Grayton wdychał dym z regularnością manometru. Inni, dyskutując — zapalali się — rozmową o derby, piękną miss, przechodzącą obok — fajka gasła, lub naodwrót, rozdrażnieni niepowodzeniem polityki angielskiej w Indjach, gadatliwością żony, która wymówiła po obiedzie dziesięć zupełnie zbytecznych słów, przesoleniem pikantnego sosu, wdmuchiwali w fajkę wściekły huragan swych mocnych płuc i fajka zamiast się opalać, zwęglała się. Lecz Lord Edward Grayton umiał odgradzać się od wszelkich pospolitych wzruszeń. Gdy młodszego jego brata, kapitana armji Królewskiej, rozerwał gdzieś w dalekich polach Pikardji pocisk niemiecki — lord Edward Grayton nie wypuścił fajki z zębów, chociaż kochał swego brata Bernarda nadewszystko w świecie. Spokojnie odczytywał przynoszone mu przez lokajów na ciężkich tacach depesze, donoszące o śmierci, weselach, narodzinach krewnych i przyjaciół, sprawozdania administratorów o rozkwicie lub ruinie jego dóbr, gazety — grube pliki — co dzień wiadomość o intrygach Irlandji, egipcjan, hindusów, rosjan, niemców, nawet buszmenów, pałających żądzą zagłady najpiękniejszej

z wysp. Przesuwały się litery, słowa, myśli, fakty, umierały ciotki, rodzili się kuzynkowie, płynęły gwineje, rozwijały się kolonje, w gruzy waliły się państwa, a fajka, święta kadzielnica — zawsze tak samo wydzielała w ofierze swój słodki, miodny dym Bogu wszystkich spokojnych gentlemanów, Bogu starej Anglji.



Możliwe, że te wyjątkowe zalety moralne lorda Edwarda Graytona należy tłómaczyć pewnymi fizycznymi brakami jego organizmu. Musimy bowiem wyjawić, bynajmniej nie z zamiłowania do życia intymnego angielskich arystokratów, lecz wyłącznie dla zrozumienia historji mojej fajki „E..X. 4.", że lord Edward Grayton, mężczyzna przystojny i słuszny, niezbadaną grą przyrody, skazany został na wieczne dziewictwo. Uświadomiwszy to sobie w 18 roku życia, doświadczył pewnej melancholji, lecz wkrótce wypaliwszy pierwszą fajkę, pocieszył się i odnalazł siebie.

Kiedy lord Edward Grayton skończył lat 50, poczuł się u zenitu swego istnienia, ostatecznie zmężniałym i pełnym sił, wskutek czego postanowił się ożenić. W miesiąc niespełna piękna lady Mary, blada i szczupła, zaczęła dzielić życie lorda, rozmyślającego nad harmonją przyrody na umiarkowanem słońcu sierpniowem, z kolanami otulonymi szkockim pledem, lub oglądającego przy kominku fotografje biednych i nieucywilizowanych jeszcze derwiszów.

Ze ślubem zbiegło się drugie ważne wydarzenie, mianowicie nabycie przez lorda Edwarda Graytona nowej fajki. Po dokładnym namyśle fajkę obstalowano w fabryce Dunhill'a. Do wyrobu jej wyszukano szczególnie gruby i porowaty korzeń wrzosu. Fajkę oznaczono inicjałami „E. X. 4.", przepasano złotym pierścieniem i zaopatrzoną w specjalne szczypce, druciki, maście,



nalewki, w luksusowym futerale przywieziono do majątku „Lyss“ w dniu uroczystości ślubnej.

Kiedy państwo młodzi pozostali sam na sam, lord Edward Grayton przeczytał żonie „Pieśń nad pieśniami“, pocałował ją w chłodną, woskową szyję i usiadłszy w fotelu zapalił nową fajkę. Wdychając dym, w którym czuć było wszystkie narkotyczne wonie wschodu, upajające niegdyś biedną Sulamitę, lord z tkliwem zadowoleniem przypatrywał się lady Mary w różowej pyjamie, wciąż jeszcze nie zasypiającej, jakby w oczekiwaniu czegoś.

Lord Edward Grayton chciał nawet zapytać ją, czemu nie śpi, lecz rozmyślił się, ponieważ rozmowa przeszkodziłaby w paleniu, według zaś dumnego planu lorda Graytona fajka „E. X. 4.“ miała zaćmić sławę wszystkich jej poprzedniczek.

Opalanie fajki postępowało z powodzeniem naprzód. Nieco bardziej skomplikowanie przedstawiała się wszechstronna piecza nad lady Mary. Po dobrym namyśle lord Grayton, odznaczający się zawsze głębokim szacunkiem dla praw przyrody, doszedł do wniosku, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą i szkodliwą pozbawiać lady Mary pewnych rozrywek, właściwych nawet angielskiej arystokracji. Długo jednak wahał się nad wyborem gentlemana, godnego dotknąć się do małżonki lorda Edwarda Graytona. Spotkawszy na wyścigach

w Oksfordzie swego młodego przyjaciela lorda Wiliamsa Ridgenta, troskliwy małżonek uwierzył w Opatrzność, na wyścigi przyjechał bowiem przypadkowo, bladość zaś lady Mary świadczyła o konieczności jaknajspieszniejszego rozwiązania tej sprawy. Lord Wiliams Ridgent był mężczyzną młodym, wysokiego wzrostu, przypominającym fotografje lorda Edwarda Graytona, gdy ten liczył dwadzieścia pięć lat: te same wodniste, niemrugające oczy, te same wiecznie zaciśnięte usta, te same długie ręce i nogi przeznaczone wyłącznie do wielkich i absolutnie niezbędnych poruszeń. Na domiar wszystkiego, lord Wiliams Ridgent palił również fajkę Dunhill'a, oznaczoną inicjałami „O. W. 48." Zresztą namiętnością jego nie były fajki, lecz buldogi. Posiadał on najpiękniejszą na świecie kolekcję złożoną z 814 angielskich psów pełnej krwi. Wraz z lordem Robertem Symisonem, właścicielem najpiękniejszych stajni, twórca fajek lord Edward Grayton i kolekcjoner buldogów lord Wiliams Ridgent stanowili prawdziwą chlubę Wielkiej Brytanji.

Na zaproszenie lorda Edwarda Graytona młody lord Wiliams Ridgent przybył do Lyss w towarzystwie psarka Johna i dziesięciu najbardziej rasowych psów.

Szlachetny małżonek przedstawił go swej żonie i przeczytawszy jedną z depesz podanych przez lokaja na ciężkiej tacy, wyjechał pospiesznie do Londynu. Dalej wszystko już poszło jaknajlepiej. Lord Edward Grayton opalał swą fajkę, lady Mary czytała sonety Elżbiety Browning, oprawne w fioletowy zamsz i oglądała portrety Rosettiego, na podobieństwo do których wskazywali jej już niejednokrotnie prawdziwi znawcy. Raz w miesiącu przyjeżdżał lord Wiliams Ridgent, psarek John i dziesięć buldogów.

Lord Edward Grayton widywał często, jak żona jego przechadzała się z młodym przyjacielem po aleji lipowej i pochwalał świetny spokój obojga: nigdy nie zmieniał się kolor policzków lady Mary, nigdy nie gasła fajka lorda Wiliamsa Ridgenta.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa fajka „E. X. 4." zostałaby szczęśliwie opaloną do końca, gdyby nie fatalny spacer lorda Edwarda Graytona w pewien ranek kwietniowy po starożytnym parku Lyss. Zbudziwszy się rano, po wykonaniu kilku prostych ćwiczeń gimnastycznych i zjedzeniu rzadkiej kaszki z mlekiem, lord Edward Grayton w oczekiwaniu godziny, o której wyjdą na śniadanie lady Mary i bawiący w Lyss lord Wiliams Ridgent, skie-



rował swe kroki ku pawilonowi myśliwskiemu. Ranek był ciepły i lord, patrząc na delikatne listowie kasztanów, rozmyślał o wielkości stwórcy, który ustanowił kolejność pór roku, ład i harmonję światów. Na wielkiej polanie oczekiwało go cokolwiek niedelikatne widowisko, mianowicie rasowe buldogi lorda Wiliamsa Ridgenta oddawały się uciechom miłosnym, przyczem dziewięć psów z wywieszonymi językami i ślepiami wywalonymi na wierzch, jak raki, odgryzając się, skomląc i ujadając, goniło za jedną suką, która po długich wahaniach i naszczekiwaniach oddała się nareszcie jednemu, na oczach rozwścieczonych rywali, jednemu, niczem na pozór nie odróżniającemu się od innych. Lord Edward Grayton po raz pierwszy był świadkiem podobnej sceny chociaż czytał niejednokrotnie o sposobach rozmnażania się zwierząt to co zobaczył uderzyło, a nawet do pewnego stopnia oburzyło jego niewinną duszę. Wkrótce jednak, otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, błogosławił triumf cywilizacji — miał przed sobą naoczną przepaść, dzielącą psa, choćby rasowego, od angielskiego gentlemana. Spoglądając na zwieszone do ziemi języki psów, pomyślał nawet — jak to dobrze, że buldogi nie palą fajek, w przeciwnym razie psułyby one tylko te piękne rzeczy!

Pogrążony w podobnych rozmyślaniach lord Edward Grayton poszedł dalej cienistą aleją lipową. Dotarłszy do pawilonu myśliwskiego poczuł się nieco zmęczonym zarówno nowymi wzruszeniami, jak i rozleniwiającem powietrzem kwietniowem i postanowił zajść do środka, aby trochę odpocząć. Lecz otwarłszy drzwi lord Edward Grayton nie przestąpił progu. To, co tam ujrzał, było czemś istotnie nieprawdopodobnem i o wiele straszniejszem od rozrywek niewychowanych psów. Na podłodze leżała lady Mary, ściskając w zapamiętaniu nieogoloną głowę psarka Johna. Na jej policzki zazwyczaj blade, jak letnia noc północna, wystąpiła dzika zorza zwrotnikowa. Niepowstrzymany gniew opanował lorda Graytona; wpijając się z całej siły zębami w fajkę wdmuchiwał w nią wicher oburzenia i rozpaczy. Lecz szczęśliwi kochankowie w swej grzesznej gorączce nie zauważyli strasznego cienia na progu, wyrzucającego z wściekłością gradowe chmury dymu i nie przestawali szeptać nieludzkich słów namiętności i rozkoszy.

Lord Edward Grayton zebrał swe siły i zawróciwszy gwałtownie, poszedł

z powrotem lipową aleją. Pierwszą jego myślą było: zaszło coś nieprawdopodobnego — dwa lata wzniosłej twórczości poszły na marne, fajka, najlepsza z fajek, jedyna, „E. X. 4.“ — zepsuta na zawsze.



Po drugiem śniadaniu, podczas którego lord Edward Grayton był jak zawsze równy i wyniosły, a lady Mary, jak zawsze cicha i blada, małżonkowie wyszli na werandę. Wówczas lord ujął tkliwie lady pod ramię i rzekł:

— Najdroższa, dziś wieczór wyjeżdżamy do Kairu. Dla twego zdrowia jest to zupełnie niezbędne.

Lady Mary nie odpowiedziała nic, pobladła tylko jeszcze bardziej, co przy jej zwykłej bladości było rzeczą bynajmniej nie łatwą i z jej drugiej ręki wypadł na ziemię tomik sonetów Elżbiety Browning, oprawny w fioletowy zamsz.

Punktualnie o godzinie 8 wieczór samochód odwiózł lorda i lady na dworzec. Po ich odjeździe lokaj odszukał psarka Johna, śpiącego najspokojniej razem z dziesięcioma buldogami na ganku pawilonu myśliwskiego i podał mu na ciężkiei tacy fajkę „E. X. 4“.

— Lord, wyjeżdżając, kazał oddać wam tę fajkę w nagrodę za wasze wzorowe sprawowanie i wyjątkowe zdolności.

Przecierając ze snu oczy i spoglądając tępo na lokaja, trzymającego tacę z dziwnym i niepotrzebnym podarunkiem, John nagle zrozumiał coś i nieopanowawszy się krzyknął:

— A lady?

Lokaj zdumiony spojrzał na niego zezem swych oddawna pozbawionych prawa dziwienia się czemukolwiek oczu i wycedził:

— Rozumie się lady towarzyszy lordowi.

Poczem oddalił się, pozostawiając Johnowi z takim trudem opaloną fajkę.

Lecz John nie był lordem, był tylko prostym psarkiem. Dlatego wsunąwszy w roztargnieniu fajkę do kieszeni, zaczął śpiewać jakąś zupełnie smętną piosenkę o biednej dziewczynie wydanej przemocą zamąż. Śpiewał zaś tak smutno, że wszystkich dziesięć buldogów nie wytrzymało i zadarłszy do góry swe rozrzewnione żabie mordy, zaczęło wyć.

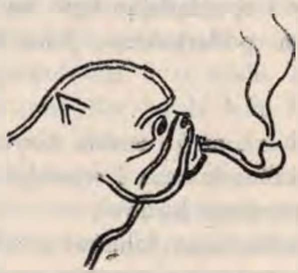
Kiedy w parę tygodni potem, udając się do Oberdin, poznałem się z Johnem,

wzdychał on jeszcze wciąż do biednej lady. Opowiedział mi krótką i smutną opowieść zakazanej miłości i podarował mi fajkę „E. X. 4“. Na co jemu fajka? Czyż psarek, który pokochał, może kiedykolwiek równo i prawidłowo oddychać?

Jemu pozostała pamięć o lady Mary, mnie piękna fajka Dunhill'a. Lecz przyznaję się — kocham ją nietylko za jej miły smak i arystokratyczny wygląd. Nie, paląc ją, widzę, jakby policzki lady, rozłunione zarzewiem wspaniałego pożaru i groźny cień lorda, ściskającego z wściekłością czarny, twardy munsztuk. Kocham ją za to, że jest zepsuta, za to, że oddech ludzki nie podlega żadnym obliczeniom, że uczucie miłości i gniewu silniejsze jest od wszystkich lordów i wszystkich lady, od harmonji światów, obrazów Rozettiego, sonetów w zamszu, stajni, derby, silniejsze od rozumu i silniejsze od woli.

Z rosyjskiego przełożył

M. K-ski.



Glossy

Rozsądek i cenzura

HEYWOOD BROUN

przeciwko rozpasaniu zorganizowanej cenzury literackiej w Stanach Zjedn.

...„Tylko warjaci i cenzorzy wierzą w potęgę pornografji. Moralne spustoszenie przypisywane drukowanym nieczystościom jest zupełnie mityczne. Czyż widział kto kiedy upadłą kobietę, zbrodniarza, lub zdeprawowane dziecko, któreby lektura doprowadziła do moralnego zwyrodnienia? Dla purytan najbardziej fascynującą postacią wszechświata jest szatan. Wystraszone nabożnisie wierzą w odegnanie djabła postami i modlitwami, podczas gdy najniezawodniejszym egzorcyzmem jest ziewanie mu w twarz przy spotkaniu z nim. Autorzy dzisiejsi zdają sobie dobrze sprawę z nudy wiejącej z opowiadań nieprzyzwoitych historji. Istnieją książki niespecjalnie wskazane dla małoletnich, lecz pilnowanie lektury jest kwestją wychowania domowego. Zresztą szkodliwość dla kilku osób nie powinna powodować konfiskaty, pozbawiającej lektury resztę czytelników.

...„Stosunek sztuki do widza, autora do czytelnika powinien być zupełnie osobisty. Niestety gorliwość cenzury nie kończy się na tępieniu pornografji. Cenzorzy z zapałem szukają dziury w całem, dochodząc do wyszukiwania brudu w czystości. Zdaje się, że tracą napróżno czas. Niechaj szukają brzydoty w pięknem, jeśli wolą to, niż szukać i odkrywać coraz nowe piękno nawet w pozornej brzydocie.

Z angielskiego *M. J.*

ŁABĄDŹ I LEDA

(BAJKA WSPÓŁCZESNA)

W historycznych Łazienkach, wypasiony bułką,
Biały łabądź po stawie pływał sobie w kółko.

Nie zadawał się z braćmi i unikał siostrzyc,
Bo mawiał, że mu skrzydła chcą koniecznie
[ostrzyc.



Są tacy, co to nie śpi, nie wypije, nie zje,
Tylko chodzi po nocy i pisze poezje.

Łabądź, chociaż nie pisał i nie władał wierszem,
Był jednakże poetą w znaczeniu najszerszem.

I kołysząc się z miną natchnionego barda
Marzył o białej Ledzie, co mu biódr swych żar da.

Tęsknił, czekał jej, szukał w każdej czułej
[parce.
I tak mijały sierpnie, jesienie i marce.

Raz, gdy przeklinał los swój, próżnych cier-
[pień sprawcę,
Ujrzał ją niespodzianie na sąsiedniej ławce.

Choć strojna była w suknię, nie antycznie naga,
Łabądź odgadł odrazu, że ten strój, to blaga.

I nie bojąc się stróżów i ich ciężkich łopat,
Podbiegł do niej w zachwycie i do stóp jej
[opadł.

I rzekł: „O Ledo, nie wiesz ile lat już więdnę,
W pożądaniu twych pieszczot, co mi są nie-
[zbędne.

Przed ikoną twych oczu, gdzie trzepoce rzęs
[knot
Przychodzę ci się w ciszy wyspowiadać
[z tęsknot.



Pójdź i pożar niesyty mej miłości zagaś,
Pokaż, żeś stokroć bielsza niźli ja, gdy naga-ś.

Szat tych blichtru się pozbądź, jak najczyst-
[sza łza bądź..."
Tak mówił do swej Ledy zakochany łabądź.

Zaś Leda, gdy swój afekt wyspowiadał przed
[nią,
Zaskoczona tą sceną trochę niepowszednią,

Odrzekła: „Zanim ogród ten zamykać zaczną,
Zważę pańską ofertę wcale nie dwuznaczną

Lecz pozwól, że miast stawiać ci pytania kręte
Spytam: masz pan mieszkanie, dochody lub
[rentę?

Czy też w wirze miłości, co przemija wkrótce
Proponujesz mi lokal w tej łabędziej budce?

Gdybyś był paradyzem, albo strusiem zgoła,
Mogłabym na kapelusz wziąć cię, lub na boa,

Ale bądź tutaj mądra i coś z tego nabądź,
Kiedy twoim kochankiem jest zwyczajny łabądź.



Cóż więc waćpan posiadasz, że potrącę w
[sedno,
By stworzyć życie damie, która jest wybredną,

Bowiem dopiero wówczas miłość w blaski
[skrzy je?"
Mówiono — bąknął łabądź — że mam piękną
[szyję..

„Szyję?... Tak... Oczywiście... Omal żem nie
[zgadła
Ale czyż szyja może być podstawą stadła?

Znam wprawdzie baśń o damie (bajał jakiś
[wieszcz ot),
Co nad wszystkie przeniosła rozkosz pańskich
[pieszczot,

Że w miłości zaś nęci mnie przeważnie finish,
Bardzo jestem ciekawa, jak to waćpan czynisz.



Zamiast przeto w Łazienkach wikt mieć mniej
[niż cienki,
Przyjdź pan dzisiaj wieczorem do mojej łazienki.

Mąż w drodze, sługi niema, ani ziębi dom ją,
Więc nikt nawet nie zgorszy się naszą sodomją.

Tam mi możesz dowody dać rzeczowe zaliż
Takiś silny w miłości, jak się tutaj chwalisz".

To rzekłszy, krokiem płynnym, co się oddać
[nie da,
Rzuciwszy mu swój adres wyszła z parku Leda.

Zaś łabądź przygnębiony tem nieszczęściem
[świeżem
Długo brodził po parku z najeżonem pierzem,

A kiedy mu koledzy doradzali: spać idź!
Rzekł sobie: „Raz znalazłszy, czyż mam znów
[ją stracić?!“



I w pogoni za ziemi najpiękniejszą z cór tą
Wyślizgnął się o zmroku jakąś boczną furtą.

Lecz, że nigdy za parkan nie wychodził dalej,
Szybko zbłądził wśród ulic, zaułków i alej,

I miast mieszkania Ledy, z chodów, gdzie aż
[cuchnie
Odwiedził jakąś obcą urzędniczą kuchnię.

Tam chałastra bachorów, widząc taki kąsek,
Ukręciła mu szyję, jak najprostszej z gąsek

I z łabędzia o kształtach Wenus Kallypigos
Przez tydzień jedli rosół, potrawkę i bigos.

Na tem koniec. By zamknąć bieg tych zdarzeń
[mglistych,
Na zakończenie dodam jeszcze jeden dystych.



Jest pewien stary pewnik, czas by się już
[przyjął:
Jeśli chcesz posiąść damę — nie czyń tego
[szyją.

De-Magog.





Kłopoty miłosne dwojga greckich dzieci

*Fragmenty z romansu p. t. „Dafnis i Chloe“ *)*

w przekładzie

JANA PARANDOWSKIEGO

— — — Razem z Chloe poszedł do groty Nimf, gdzie było źródełko: zdjął chiton i torbę pastuszą i dał jej do trzymania, sam zaś stanąwszy w wodzie obmył włosy i całe ciało. Włosy miał czarne i bujne, a ciało spalone od słońca: jakby od włosów taki cień padał. Chloe patrzyła na Dafnisa i wydał się jej pięknym, a ponieważ nigdy dotychczas takim go nie widziała, sądziła, że dzieje się to za przyczyną kąpieli. Gdy zmywała mu plecy, poczuła, iż skóra jego jest miękka i pokryjomu własnej dotykała, by przekonać

*) Romans „Dafnis i Chloe“, najpiękniejszy zabytek starogreckiej powieści miłosnej, pierwowzór wszystkich *Pawłów i Wirginij*, w przekładzie Jana Parandowskiego, ukaże się niebawem w wydaniu książkowem, nakładem „Ateneum“.

się, czy jej ciało nie jest delikatniejsze. A o zachodzie słońca pognali trzody do domu i Chloe niczego tak nie pragnęła, jak znów ujrzeć Dafnisa w kąpieli.

Nazajutrz, kiedy przyszli na łąkę, Dafnis usiadł pod ulubionym dębem i grając na fujarce spoglądał na rozłożone kozy, które zdawały się słuchać jego grania. Chloe siedziała obok i patrzyła na swoje owce, ale częściej jeszcze na Dafnisa. I znów, gdy tak grał na syrindze, wydał się jej pięknym bardzo, a przyczynę piękności widziała w owej muzyce. Skoro więc przestał grać, wzięła syringę, myśląc, że może i sama stanie się równie piękną. Potem namówiła go, aby poszedł się kąpać i odeszła z tym samym podziwem, a ów podziw był początkiem miłości. I nie wiedziała, co się z nią dzieje, bo była taką małą wiejską dziewczynką, która nawet nie słyszała imienia Erosa. —

— —

Chloe nie ociągała się długo, lecz poskoczyła i ucałowała Dafnisa, — nieuczenie i nieumiejętnie, ale tak, że duszę mogła tym pocałunkiem rozpalić. Dafnis, jakby go nie pocałowano, lecz ukąszono, sposępniał, i wzdychał często, i serce mu biło gwałtownie, i patrzeć chciał na Chloe, a gdy patrzył, oblewał się rumieńcem.

I po raz pierwszy wtedy spostrzegł ze zdziwieniem, jakie ona ma złote włosy, a oczy wielkie, jasne i błękitne, a lica, zaiste, bielsze od mleka kóz, jakby dopiero teraz otworzyły mu się oczy, których przedtem był pozbawiony. Ledwo mógł tknąć jadła, pił zaś chyba z konieczności, tylko umoczywszy usta. Milczącym się stał on, który przedtem był od świerszczów swiegotliwszy i on, ruchliwszy od kóz siedział teraz nieruchomo. Przestał się troszczyć o trzodę. Porzucił fujarkę. Bledszą stała się twarz jego, niźli trawa spalona latem. Z jedną tylko Chloe mógł mówić. A gdy odchodziła i zostawał sam, rozmawiał ze sobą:

— Cóż mi to uczynił pocałunek Chloe? Wargi jej delikatniejsze, niż płatki róży i usta jej słodsze od miodu, a pocałunek, — pocałunek bardziej bolesny niźli żądło pszczoły! Nieraz całowałem koźlątka, nieraz całowałem malutkie jagnięta i to cielątko od Dorkona, ale ten pocałunek jest inny. Zapiera mi oddech, serce się tłucze, dusza we mnie zamiera, a ja znów chciałbym całować! O klęsko złowroga! O dziwna chorobo, której imienia nie znam! Zali trucizny jakiejś zażyła Chloe, zanim mnie pocałowała? Jakoż więc sama nie umarła? Oto słowiki śpiewają, a moja syringa milczy. Oto koźlątka ska-

czą, a ja siedzę nieporuszony. Oto kwiaty cudnie rozkwitły, a ja wieńców nie splatam. I fijołki kwitną i hijacynty, a Dafnis więdnie....

Tak cierpiał i tak mówił najmilszy Dafnis, po raz pierwszy w życiu poznając gorzki smak miłości. — — — — — — — — — — — — — — —

— —

Rozpalała ich sama pora roku. Wiosny był już koniec i lata początek, a wszystko w kwiatach. Na drzewach owoce, na polach zboże. Słodkie koników polnych ćwierkanie, rozkoszna owoców woń, radosne trzód beczenie. Zdawało się, że rzeki cicho płynąc śpiewają, i wiatry grają na gałęziach sosen, jak na strunach, i jabłka w tęsknocie miłosnej opadają na ziemię, i słońce, miłośnik pięknych ciał, wszystkich z szat rozbiera.

Dafnis, upojony tem co wokół siebie widział, wstępował do rzeki i albo się kąpał, albo łowił ryby rzucające się we wodzie, i pił, jakby chciał ogień wewnętrzny ugasić. Chloe zaś wydoiwszy owce i kozy, miała sporo kłopotu z nastawieniem mleka na ser, straszne bowiem były muchy, gdy się je odpędzało, uprzykrzone i kąśliwe. Gdy wreszcie skończyła, umyła twarzyczkę, na głowę kładła wieniec sosnowy, na piersi narzucała pstrą skórę jelonka i dwojaki napełniała winem i mlekiem, na wspólny z Dafnisem posiłek.

Z nadejściem południa gotowała się dla ich oczu nowa zasadzka. Chloe, widząc Dafnisa nagim, podziwiała jego kwitnącą urodę i była bliska zmartwienia, że nic w nim zganić nie może; on zaś, patrząc na nią, ubraną w skórę jelonka i w wieńcu sosnowym, jak podawała mu kubek, śnił, że ma przed sobą Nimfę. I brał jej wieniec z głowy, a ucałowawszy wkładał na własną, ona zaś, gdy się kąpał nagi, wdziewała jego szaty, podobnym jedarząc pocałunkiem. A czasem jabłkami rzucali na siebie, włosy rozplatali i zdobili. I wydawały się jej włosy jego czarne, do mirtów podobne, jemu zaś jej oblicze do jabłka, że takie jasne było i różowe. Nauczył ją grać na fujarce. Lecz gdy tylko zaczęła dmuchać w trzcinę, odbierał jej instrument i sam po nim przebiegał wargami. I kiedy się zdawało, że ją w błędach poprawia, on całował Chloe przez fujarkę, — bardzo zmyślnie.

W jedno południe przygrywał sobie Dafnis na fujarce, a trzody spokojnie leżały w cieniu. Chloe, która siedziała przy nim, zdrzemnęła się niespodzianie... Wtem świerszcz, uciekając przed jaskółką, która go złapać chciała, wpadł w zanadrze Chloe. Jaskółka nie mogła go już wprawdzie dosięgnąć, ale

w pościgu zbliżywszy się skrzydełkami musnęła policzki uśpionej. Ta zaś, nie wiedząc co zaszło, z głośnym okrzykiem zerwała się ze snu. Ujrzawszy jednak jaskółkę wciąż jeszcze w pobliżu latającą i Dafnisa śmiejącego się z jej przestrachu, zbyła trwogi i przetarła oczy jeszcze się do snu kłoniące. A świerszcz z zanadrza zaćwierkał, podobny temu, co za uratowanie dziękuje. Znowu tedy Chloe głośno krzyknęła, a Dafnis zaczął się śmiać. i nie omijając sposobności wsunął ręce między piersi dziewczyny i wyjął najmilszego świerszczyka, który nawet w dłoni jego nie zamilkł. — — — — — — — — — — —
— —

Jesień już była w pełni, nadszedł czas winobrania i wszystko było na robocie w polu... Dafnis i Chloe porzucili kozy i owce, i podali sobie ręce ku pomocy. On nosił winogrona w koszykach, i wyciskał je w tłoczniach, i wino zlewał do beczek; ona warzyła strawę winiarzom, i do picia dawała im wino z poprzednich lat, i zbierała grona z niższych latorośli.

Jak zwyczaj każe, w święto Dionizosa, w dniu narodzin wina, kobiety, które z sąsiednich pól zaproszono do pomocy, przymilały się do Dafnisa i chwaliły go, mówiąc, że urodą dorównywa samemu Dionizosowi. A co śmielsze całowały go i ciągnęły ku sobie, niosąc zmartwienie Chloe. Mężczyźni zaś przy tłoczniach, nęcili Chloe rozmaitemi nawoływaniami, i wyprawiali dokoła niej skoki szaleńcze, jak Satyrowie wokoło Bakchantki, i wyznawali głośno, że każdy z nich chciałby zostać barankiem, byleby ona go tylko pasła. Wtedy znów Chloe się cieszyła, a Dafnis się smucił. Pragnęli więc oboje, aby winobranie skończyło się, jak najprędzej; wrócą do swoich ustroni i zamiast bezładnego krzyku, słuchać będą wstydliwego głosu fujarki albo beczenia własnych trzód. — — — — — — — — — — — — — — —
— —

„Na miłość, moje dzieci — rzekł stary Filetas — niema lekarstwa, ani takiego, które się je lub pije, ani takiego, co w zaklęciach dzwoni, jeno pocałunek i uścisk i leżeć razem, przywarłszy do siebie nagiemi ciałami. — —
— —

Gdy z nastaniem dnia wypędzili trzody na pastwisko, skoro się tylko spostrzegli zaczęli się całować i — czego dotąd nie czynili — garnęli się ku sobie w czułych uściskach. Ale z trzeciem lekarstwem — położyć się razem nago — zwlekali; było ono zbyt śmiałe nie tylko dla dziewczyny, ale i dla

koźlarza. I znowu przyszła noc, a z nią bezsenność i wspominanie tego, co się robiło i wyrzucanie sobie wszystkiego, czego się zaniedbało:

— Całowaliśmy się i żadna z tego korzyść. Uściskaliśmy się i nic nam z tego. Chyba już tylko jedno zostaje nam lekarstwo na miłość: położyć się razem nago. I tego spróbować trzeba. Zapewne jest w niem coś lepszego od pocałunku.

Po takich rozmyślaniach, jak się można było spodziewać, mieli sny miłosne: śniły im się same pocałunki i uściski, a czego za dnia nie czynili, odważali się na to we śnie: nago ze sobą leżeli. Raźniej z nadejściem dnia wstali i biczem pędzili trzody, śpiesząc do pocałunków, a kiedy się spostrzegli — ze śmiechem zaczęli biec ku sobie. Pocałunki więc, a po nich uściski. Ale z trzeciem lekarstwem jakoś szło niesporo: ani Dafnis nie miał odwagi o tem mówić, ani Chloe nie chciała zacząć. Aż przypadek i to zdarzył.

Usiedli pod pniem dębu, tuż przy sobie i skosztowawszy radości pocałunku nienasycenie zapragnęli rozkoszy. Były tam i rąk uściski, i ciała przywierały ku sobie. Kiedy w uścisku Dafnis jakoś gwałtowniej ją przygarnął, Chloe położyła się na boku, a on idąc za pocałunkiem to samo uczynił. I poznawszy obraz ze snów leżeli tak długo, jakby związani. Nie wiedząc jednak co dalej i sądząc, że to jest ostateczny cel miłosnego używania, napróżno większą część dnia zmarnowawszy rozłączyli się i przeklinając noc, popędzili trzody do domu —





EKLOGA

trzymając w ręku mlecz książki i dmuchając weń
rzekła mi z pod nastroszonej peruki promieni
słonecznych: dość tego! jaki z ciebie leń!
że przeczytasz to wszystko cóż się przez to zmieni?

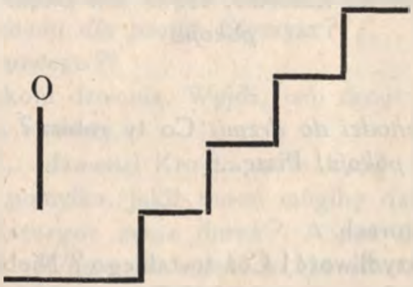
znasz wszystkie myśli tego grubego pana z książki
ze szkłami na nosie — ja nie znam ich! mój Boże
świat który płynie książką taki jest wązki
że zgadniesz każdą zagadkę cóż ci to pomoże?

czybyśmy nie mogli tak naprzykład uciec
i pleść słodkie głupstwa pod drzewem zielonem?
jabym była twoim ozdobnym balonem
a tybyś na mnie fruwał w świątecznym surducie

paślibyśmy krzyczące ptasie trzody kwiatki
ssalibyśmy czarnym kozom miękki banan piersi,
tybyś był tyrsem moim — kujawskiej bachantki
i jużbyśmy nie pisali więcej głupich wierszy

zrzucam więc z siebie mieszkanie swe lekko jak ślimak,
wkładam na nogę sandały i różuję wąsy —
kochanka ma uszczęśliwiona jak szpinak
podnosi na mnie oczy oblana cała ponsem

FUTURUS



Klucz

komedja w 1 akcie

Napisał

ARKADJUSZ AWERCZENKO

Osoby działające:

Mąż.
Żona.
Młody człowiek.

BUDUAR. Noc. Po lewej stronie toaleta. Kuszetka. Po prawej okrągły stolik, 2—3 krzesła. Żona leży na kuszetce; czyta. On (mąż) pracuje w sąsiednim pokoju.

ONA: *(wstaje, podchodzi do drzwi)* Co ty robisz?
ON: *(z sąsiedniego pokoju)* Piszę...
ONA: A o czem?
ON: O gazogeneratorach.
ONA: Fi, co za obrzydliwość! Cóż to takiego? Nieboszczykowie, czy co?
ON: Co ci też do głowy przychodzi! To są, widzisz, takie maszyny.
ONA: Fi, jakie to nudne. A czy na nich się jeździ?
ON: Pocóż ma się na nich jeździć? Też czasem strzeli ci coś do głowy!
ONA: Słuchaj, a wiesz co — już późno... Czas już spać. Co ty o tem sądzisz?
ON: Owszem, połóż się.
ONA: A ty?

ON: Ja dopiszę jeszcze jeden rozdział i poszperam trochę w słowniku.

ONA: A wiesz, ja już przebrałam się na noc, włożyłam nowy peniuar.

ON: No i cóż?

ONA: Chcesz zobaczyć?

ON: Potem, potem...

ONA: No chodź, co ci to szkodzi, no, mój złoty... ja się tak nudzę!

ON: Poczekaj, moja droga... Niedługo skończę...

ONA: *(uderza zniecierpliwiona dłonią w stół. Po chwili — chytrze)* A wiesz, wczoraj na spacerze oficer z samochodu przesłał mi całusa... Słyszysz?

ON: Tak, tak. Ładny?

ONA: Kto?

ON: Samochód.

ONA: Co cię obchodzi samochód! Zato oficerek był śliczny. I... wiesz co? Uśmiechnęłam się do niego i dałam mu znak rękawiczką.

ON: Dziwne, żeś nie zapomniała rękawiczek w domu. Zawsze je zapominasz.

ONA: *(uderza pięścią w stół)* Drewno! Drewno! Pień! Ty mnie ani odrobinę nie kochasz. Inny zrobiłby za to scenę, skrzyczałby, zbił...

ON: Potem, potem! Dopiszę do końca ten rozdział, wyjdę i zbiję.

ONA: Potem już nie trzeba. Potem będzie już zapóźno. *(Pauza. Zauważa na stole dzwonek, dzwoni dla psoty).* Słyszysz?

ON: Cóż jeszcze nowego?!

ONA: W przedpokoju dzwonią. Wyjdź, mój drogi — otwórz.

ON: Niech służąca otworzy.

ONA: Służąca śpi... *(dzwoni)* Kto to może być?

ON: Z pewnością pomyłka. Jakiż dureń mógłby dzwonić o 12-ej w nocy?

ONA: Dureń? Dlaczegoż zaraz dureń? A nuż to ktoś ze znajomych? Pójdę sama otworzyć. *(Udaje, że wychodzi, po chwili wraca).* Co za miła niespodzianka! Pan Jerzy! Nie był Pan u nas kopę lat. Skąd panu przyszedł pomysł odwiedzić nas tak późno? Zresztą bardzo jestem panu rada! Tu u nas *(w stronę męża)* takie nudy... Niech pan wybaczy, że jestem w peniuerze bez rękawów. Niech pan na mnie nie patrzy. *(basem, naśladując męski głos)* A mąż w domu? *(swoim głosem)* Mąż? Tssss... Niech pan mówi ciszej. Mąż pracuje w tamtym pokoju. Zamknął się na klucz. Nie przeszkadzajmy mu. Niechże pan siada. *(posuwa krzesło)* Niech pan opowie gdzie pan bywał,

co u pana słychać? *(basem)* O dziękuję, nic nowego. *(swoim głosem)* A ja siedzę tu ciągle sama i nudzę się. *(basem)* Pani się nudzi? Taka piękna, czarująca kobieta nudzi się? *(swoim głosem)* Tssss, ciszej, przeszkadza pan mężowi pracować. No i cóż, wspominał pan o mnie przez ten czas? Tak dawno pana nie widziałam. *(basem)* Przez cały czas myślałem tylko o pani... Pamięta pani nasze spacery w parku, pamięta pani tę ławeczkę... *(swoim głosem)* Tss... ciszej! Nie trzeba o tem wspominać... Co było — minęło. *(basem)* Dlaczegoż miało minąć? Nie, wcale nie minęło. *(swoim głosem)* Nie, nie trzeba! Bywa pan w teatrach? *(basem)* Pani zawsze jednakowo piękna! Jakie pani ma cudne ręce! *(swoim głosem)* Ach, niech pan nie patrzy, ja bardzo proszę... Te peniuary mają takie króciutkie rękawy.. Bywa pan w teatrach? *(basem)* Zawsze myślałem o pani rękach· Niech mi pani poda lewą. *(swoim głosem)* Poco? Nie, nie trzeba! Bywa pan w teatrach? *(basem)* Chcę ją pocałować. Jak wtedy, pamięta pani? *(swoim głosem)* Jak panu nie wstyd... Mąż pracuje za ścianą, a pan mi takie rzeczy mówi... W jakich teatrach był pan w tym sezonie? Niech pan puści moją rękę!... No, niech pan puści! Proszę siedzieć spokojnie! No, ma pan moją rękę, proszę ucałować i uspokoić się. *(całuje się w rękę, nasłuchuje, całuje jeszcze raz)* Tsss... Pozwoliłam panu raz, a pan już chyba sto razy pocałował. Oszalał pan? *(basem)* Czy pozwoli pani zapalić? Może są tu gdzieś zapałki? *(swoim głosem)* Zaraz, zaraz! Ma pan, niech pan zapali. *(pociera paznokciem o krzesło)* O, zgasła! *(pociera powtórnie)* Niech pan zapali. *(udaje kaszel)* Fu, jaki dym! Można się udusić! Jak wy, mężczyźni, możecie palić?... Niech pan zostawi moją rękę! Oberwie pan klapsa! *(uderza się po łapkach)* Oj! Aha! Ma pan! Dobrze panu tak? Proszę siedzieć grzecznie! Niech pan teraz opowie, jak pan spędza czas? Bywa pan w teatrach? Ach, spadł mi z nogi pantofelek... Niech pan mi go włoży! Niech pan będzie moim rycerzem. *(klęka z chałasem)* Proszę zostawić moją nogę! Można włożyć pantofelek i bez tego. Ach, panie Jerzy, czyż tak się wkłada pantofelek?! Proszę zostawić, bo pan znów oberwie po łapach! Niech pan usiądzie! *(oddycha ciężko)* No, niech pan przestanie! *(siada)* No, teraz dobrze, usiadł pan i proszę siedzieć! *(mruczy coś pod nosem)* Co? No, w rękę może pan ostatecznie pocałować. Ale tylko raz. Ach, Boże, jak mi pan dokuczył! *(kilkakrotnie całuje się w rękę)* Co? W szyję? Pan oszalał! Niech pan przestanie,

nie można! Proszę trzymać ręce przy sobie, bo krzyknę! Niech pan opowie lepiej, gdzie pan bywa! Niechże pan przestanie!! No, nie można! Przecież on jest tam, w sąsiednim pokoju, może usłyszeć. Pan się zapomina! Jestem uczciwą kobietą! Za nic w świecie! Za nic w świecie! *(namiętnie)* Pogardziłabym później sama sobą!! *(krzyczy)* Niech pan przestanie! *(imituje walkę, przewraca krzesło — słabym głosem)* Szaleniec! Podarł mi pan cały peniuar! Niech pan spojrzy, co pan zrobił z rękawem? *(basem)* Jeszcze jeden pocałunek i odejdę. *(swoim głosem)* Nie teraz... później... Nie ogolił się pan i podrapał mi pan cały policzek, *(kapryśnie)* Taką kłójącą ma pan brodę. *(nasłuchuje, macha ręką zniechęcona. Basem)* Muszę cię widzieć jutro... słyszysz... Nie mogę żyć bez ciebie! *(swoim głosem)* Dobrze! Dobrze! *(namiętnie)* Słodki mój, najdroższy! *(całuje się w rękę)* Ale teraz idź już, idź! On może tu wejść w każdej chwili... Jutro o wpół do siódmej... U ciebie. Ach, zapomniałeś papierośnicę, weź papierośnicę!! *(biega po pokoju, naśladuje kroki mężczyzny, nasłuchuje, siada. Cisza. Zaczyna płakać — coraz głośniej i głośniej. Wchodzi mąż).*

ON: Droga moja, co ci? Co ci jest? *(ona płacze)* Zresztą domyślam się dlaczego płaczesz... Żal ci go...

ONA: *(przez łzy)* Kogo?

ON: Twego kochanka. Położenie jego rzeczywiście było bardzo kłopotliwe.

ONA: Dlaczego?

ON: Jeszczeby też? Pomyśl tylko, on, dorosły mężczyzna, musiał, jak robak włazić przez dziurkę od klucza.

ONA: *(zdumiona)* Co—o—o?

ON: Zupełnie zrozumiałe! Inaczej przecież wejść nie mógł. Drzwi frontowe są zamknięte i klucz od nich mam w kieszeni *(pokazuje klucz).*

ONA: *(wyrywa mu klucz)* Aha, więc ja nadarmo się trudziłam?! Więc dlatego byłeś taki spokojny? Klucz!

ON: *(zadowolony z siebie)* A tyś co myślała? Ho—ho! Ja, moja droga, jestem sprytny! Mnie nie nabierzesz *(wychodzi).*

ONA: Jak się to państwu podoba? On miał klucz; *(dzwonek)* Hm... dzwonek! Ktoby to mógł być? *(zastanawia się przez chwilę)* Pójdę zobaczyć! *(bierze klucz, wychodzi. Wraca z młodym człowiekiem)* Boże, a to

dopiero niespodzianka! Pan Władysław! Cóż pan do nas tak późno? Proszę, niech pan siada!

MŁODY CZŁOWIEK: Czyż naprawdę już tak późno? Na moim zegarku dopiero 9-ta.

ONA: Ale gdzież tam! Na naszym już 12-ta!

MŁODY CZŁOWIEK: Doprawdy? Co za zbieg okoliczności! *(ze wzruszeniem)* A wie pani dlaczego przyszedłem?

ONA: Dlaczego? Nie wiem...

MŁODY CZŁOWIEK: Dlatego, bo mi się pani dziś w nocy śniła?

ONA: Ciszej! Oszalał pan? W sąsiednim pokoju jest mój mąż!

MŁODY CZŁOWIEK: *(patrząc jej w oczy).* A wie pani jak mi się pani śniła?

ONA: Niech pan przestanie już o tem... Dosyć... Bywa pan w teatrach? *(ciekawie)* A... jak się panu śniłam?

MŁODY CZŁOWIEK: Wie! Pani! Jak! Mi się! Pani! Śniła!?

ONA: Bywa pan w teatr...

MŁODY CZŁOWIEK: *(obejmuje ją)* Tak!... *(całuje)* O tak! O tak! I jeszcze o tak!

ONA: Ależ to bezczelność! Pan sobie pozwala zbyt wiele! Mąż usłyszy, jest tu, w sąsiednim pokoju.

MŁODY CZŁOWIEK: *(w ekstazie)* Choćby 700 mężów! *(namiętnie).* Musisz być moją!

ONA: Pan oszalał! To już przechodzi wszelkie granice...

MŁODY CZŁOWIEK: Musisz być moją! Inaczej popełnię 145 szaleństw i 1350 warjactw! Obiecaj mi! Obiecaj, że będziesz moją! Bądź u mnie jutro o 7-ej *(pocałunek).*

ONA: (*ogląda się na drzwi*) Dobrze, dobrze! Tylko teraz już idź! Bywa pan w teatrach?

MŁODY CZŁOWIEK: (*całując ją*) Bywam, bywam!

ONA: Ciszej!... A w jakich?

MŁODY CZŁOWIEK: Co w jakich?

ONA: W jakich teatrach?

MŁODY CZŁOWIEK: A-a!... Przeważnie na farsach! Więc do jutra? Tak?

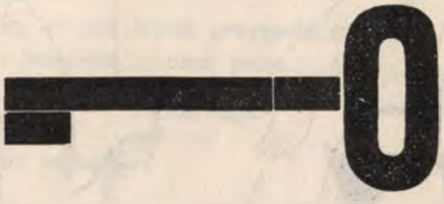
ONA: Błagam pana niech pan już idzie! Pan mnie zgubi!

MŁODY CZŁOWIEK: *(w drzwiach)* Żegnaj moja królowo!

ONA: *(w roztargnieniu)* Żegnaj mój królewiczu! *(wyprowadza go, wraca sama)* Fu... fu...! *(wchodzi mąż)*

ON: Słuchaj, moja droga! Chcę ci dać małą radę... Nie należy się nigdy powtarzać... Za pierwszym razem udało ci się bardzo dobrze: ta walka, pocałunki namiętny djalog... Przez chwilę nawet uwierzyłem. Ale, drugim razem zagrałaś już znacznie gorzej i bardzo nienaturalnie. I pozatem dlaczego sądzisz, że skoro nie dałem się nabrać za pierwszym razem, dam się nabrać za drugim? Tembardziej, że klucz mam przecież w kieszeni. He-he he! *(szuka po kieszeniach)* O tu... O tutaj... Nie, zdaje się, że tu? Gdzież on się podział? *(wyraz przestrachu na twarzy)* Klucz! Przecież tyś mi go wyrwała! *(w rozpaczy)* Klucz! Klucz! *(do publiczności)* Panowie, prawda, że tu nie było nikogo? *(zadowolony z siebie)* No, właśnie. O, ja jestem sprytny! mnie nie nabierzesz! Co, może nie jestem sprytny?

(żona śmieje się histerycznie z twarzą w poduszkach).





K. Tomorowicz W kąpieli

Pani Dusantoir?

Napisał

GEORGES AURIOL

Stary mój przyjaciel baron d'Houillard (z Reims) zaklinał mię uroczyście, abym, będąc w Paryżu, doręczył osobiście list jego, adresowany do niejakiej pani Dusantoir, zamieszkałej przy ulicy Condorcet, nr. 226.

Natychmiast zatem po przyjeździe do Paryża, udałem się pod wskazany adres.

Dozorczyni nie zastałem, — w loży portjera była tylko mała, najwyżej ośmioletnia dziewczyka.

— Czy tu mieszka pani Dusantoir?

— Mieszka, proszę pana.

— A na którem piętrze, — nie wiesz przypadkiem?

— Zdaje mi się, że na trzeciem, proszę pana.

— Czy na trzeciem, licząc od mezaninu?

— Nie wiem, proszę pana...

— A czy tu jest wogóle mezanin?

— Niema, proszę pana...

— Zatem mogę iść prosto na trzecie piętro. Pa, malutka!...

* * *

Zaledwie pocisnąłem dzwonek na trzeciem piętrze, otworzyła mi drzwi młoda, ładna pokojówka.

— Pani w domu? — spytałem.

— W domu... proszę wejść... zaraz panią poproszę.

Poprosiłem ją, by mię zameldowała.

Wróciła po chwili:

— Pani jest w kąpieli, — oświadczyła.

A kiedy skrzywiłem się z niezadowoleniem, dodała spiesznie:

— Ale to nic nie szkodzi, — może pan wejść.

Pani była rzeczywiście w kąpieli... Za dobrze jestem jednak wychowany, aby na tem miejscu wyliczać kompletną, oficjalną listę jej wszystkich wdzięków!

Czytelnik musi się zadowolić jedynie krótkiem objaśnieniem, że pani siedziała w wannie, bawiąc się łapaniem maleńkich sztucznych rybek na wędkę, opatrzoną magnesem.

Podała mi swobodnie rączki i strząsając krople wody ze swych czarnych włosów odezwała się uprzejmie:

— Nie gniewaj się pan, że przyjmuję go w łazience... ale tak gorąco dzisiaj...

— Rzeczywiście gorąco, przytaknąłem... Właśnie miałem zamiar zakomunikować pani to spostrzeżenie...

Roześmiała się wesoło.

— Proszę pana — tam na stoliku leżą papierosy. Może mi pan zechce podać jednego?

Podałem jej papierosa — sam zapaliłem również — i rozgadaliśmy się, jak starzy znajomi.

— Kiedy przyjechałem, o której godzinie? — Nie pamiętam dokładnie. — Jak długa myślę zostać? — Nie umiem powiedzieć. — Bawiliśmy się tak tem łapaniem rybek na wędkę, co mi się niesłychnie podobało... Pokojówka zapukała do drzwi:

— Proszę pani — kolacja na stole!

— Jakto? już? — zdziwiła się młoda dama. — Nie przypuszczałam, że już tak późno... Przepraszam pana, — tylko zarzucę peniuar... Mamy dziś pyszne ogórki na kolację... lubi pan ogórki?

— Pasjami!

— To doskonale się składa, — zauważyła, podnosząc się.

W mgnieniu oka była już gotową.

Zjedliśmy doskonałą kolację, wypiliśmy czarną kawę i zapalili papierosy, popijając mrożonego szampana.

Właśnie zamierzałem wstać i pożegnać tę milutką osóbkę, — kiedy szepnęła:

— Czas już chyba spać?

— Naturalnie, — przytaknąłem, — północ już dochodzi.

Zadzwoniła na pokojówkę:

— Berta, możesz już iść spać! Nie jesteś mi potrzebna.

A kiedy wstałem, chcąc ją pożegnać, ujęła mię pod ramię i przeprowadziła do sąsiedniego pokoju.

Pokój ten oświetlony był słabo jedną lampą w kryształowej umbrze. Mimo to zauważyłem, że był cały obity delikatnym kretonem i że stało w nim kilka fotelików, szafka i łóżko dość szerokie...

— Czy sypia pan przy otwartem oknie? spytała piękna dama.

— Ach... nie... ja...

— Ja także nie, — odparła — uważam, że to bardzo niezdrowo.

Nazajutrz rano, czyszcząc swój cylinder, przypomniałem sobie o powierzonym mi liście. Piękna dama leżała jeszcze w łóżku. Wydobyłem z portfelu ów list i podałem go jej.

Rzuciła okiem na adres:

— Pani Dusantoir — to o piętro wyżej...

— Ach Boże... wyjąknęłem, zatem pomyliłem się o jedno piętro... Bardzo panią przepraszam... jakże mi przykro, że panią niepokoiłem...

— Ależ co znowu... żartuje pan — odparła, podając mi rękę gestem damy czarującej i światowej.

Spolszczył

K. R.

WERILLA

Wyiskrzone złotowzoro są rozlśniewne fal opryski.
Znojnie śpiewa mi Werilla barkarolę Offenbacha.
Mówię do niej: Czemu nie chcesz swej kibici smagłoślizkiej
Zanieść tam, gdzie czai poryw moja chata nizkodacha?

Myśli barwy flamingowej przeczołgały się po brzegu
I echowiąc wiosłopluski zgniotły zwilgłą pierś konwalji.
Od bieguna do bieguna, fiołkowiąc się w przebiegu
Gwiazdy płyną po emalji z Europy do Australji.

Odpowiada mi Werilla, rozchylając biódr oploty:
Nie chcę, aby w dusznej chacie śnił się nam wieczności oman,
Bo z łatwością podpatrując spazm, rozedrgi i pieszczoty
Mógłby zbytnio się podniecić mąż mój, zmyślny erotoman.

SZER-SZEŃ



Don Juan współczesności

Kazimierz Junosza-Stępowski o donżuanizmie i kobiecie

Nie rozumiem pojęcia, jakie wkłada się w słowo donżuan. Wszyscy jesteśmy Don Juanami, albo też Don Juana niema wogóle. Idealny typ Don Juana, jaki stwarza literatura i teatr każdej epoki jest raczej proekcją i zmysłowym symbolem jej ideału męskiego. Ideał ten w głównych zarysach pozostaje niezmienny, składa się na niego to *„das ewig männchliche“*, co każda zdrowa epoka określa w sposób mniej więcej jednaki. Ośrodkiem tego pojęcia jest pewna siła, którą nazwałbym siłą męską (oczywiście nie w lekarskiem i kobiecem tego słowa znaczeniu, choć stanowi ono niewątpliwie jedną z jej podstawowych części integralnych). Z biegiem rozwoju kultury nacisk przesuwa się tu stopniowo z siły fizycznej na siłę moralną, lecz zdaniem mojem są to raczej dwa bieguny jednej i tej samej energji, niż dwie energje różne. Don Juan historyczny zmienia swe przyzwyczajenia, metody i kostjumy, lecz w najistotniejszem wnętrzu swojem pozostaje ten sam. Są oczywiście epoki chorobliwe, w których ideał piękna zostaje odwrócony i wypaczony. Jedną z takich epok był t. zw. modernizm, czy Młoda Polska z jej kultem chorobliwości i neurastenji. Są to jednak raczej ideały histeryczek tej epoki, które

dochodzą w niej do głosu, niż głos samej epoki. W stosunku do współczesności uważam chorobę tę za całkowicie minioną i wyleczoną. Współczesny widz teatralny nie jest już w stanie wczuć się w nią, zrozumieć i współczuć. Proponowano mi w tym sezonie wystawienie „Śniegu“ Przybyszewskiego. Pomysły tego rodzaju uważam za najzupełniej chybione. Współczesny zdrowy widz reaguje dziś na tego rodzaju sztuki jedynie śmiechem.



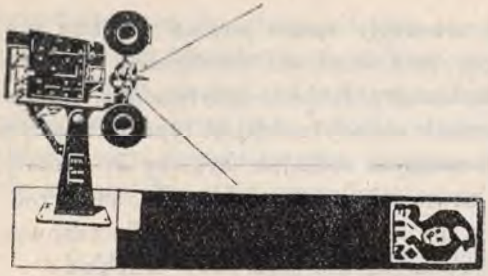
Epoka nasza należy niewątpliwie do najzdrowszych. Zawdzięczamy to może temu masowemu upustowi zepsutej krwi, jakim była wojna. Ideałem męskim naszej epoki jest mężczyzna-sportmen, giętki, przedsiębiorczy, zaborczy, o szerokich, rozwiniętych barach, w czem napróżno przez kilka lat usiłowała mu dopomóc moda. Mężczyznę tego nie pociąga już więcej ani „kobieta demoniczna“, ani „kobieta bezradna“ — dwa bieguny kobiece, dookoła których obracały się zainteresowania erotyczne epoki ubiegłej. Ideał kobiety wiotkiej, przejrzystej i powiewnej zaczyna powoli zanikać na korzyść ideału kobiety prawidłowo fizycznie rozwiniętej. Paryżanki, które na tej drodze do „upowiew-

nienia“ osiągnęły pewne maximum i stworzyły nawet pewien odrębny typ, typ kobiety „przecywilizowanej“, żłopią dziś wiadrami śmietankę, aby wypełnić, na rozkaz mody, swe zwiotczałe kształty. Kobieta-sportsmenka, konkurująca z mężczyzną we wszystkich gałęziach wytwórczości jest typem kobiecym naszej epoki. Sport jest jednocześnie ważnym rodzajem hygieny erotycznej. Panny zajmujące się sportem będą z pewnością mniej oddawały się przedwczesnym ćwiczeniom miłosnym, zanim nie rozwiną się fizycznie dla zdrowej, naturalnej miłości. Mam pod tym względem bardzo wymowny przykład:

Pewien mój znajomy, obywatel z Kresów, w pięćdziesiątym roku życia ożenił się z panną ośmnastoletnią, wyjątkowej zupełnie urody. Kiedy odradzano mu ten krok, wskazując niedwuznacznie na zupełnie widoczne konsekwencje, miał stale jedną, zresztą trudną do odparcia odpowiedź: „Wolę mieć 50% w dobrym nteresie, niż 100% w złym“. Ożeniwszy się, wywiózł swą młodą małżonkę na wieś, otoczył ją wszystkimi rodzajami sportu, jakie mogła sobie wymarzyć i nie zamykał bynajmniej domu swego przed znajomymi. Pani jeździła przez cały dzień konno, strzelała, polowała wiosłowała. I cóż państwo powiedzą, jestem zupełnie pewien, że ustrzegło to jej rozumnego męża przed całym szeregiem niemiłych spodziewanych niespodzianek, i że miast 50%, jakimi gotów się był zadowolnić, przez całe swe życie był z pewnością właścicielem przynajmniej 95%.

Idealny typ kobiety naszej epoki dopiero się wypracowuje. Literatura i teatr nasz nie stworzyły nam w tej dziedzinie nic, na czem możnaby się oprzeć. Jeśli chodzi o kobietę pełnej krwi, to stworzyła ją bodaj jedynie literatura rosyjska, co jest może parodoksem wobec popularnego zdania o ogólnym przesubt elnieniu i chorobliwości tej literatury. Puszkinowska Tania, tołstojowska Natasza Rostowa, Anna Karenina — to kobiety *pur sang*.

Teatr nasz w tym zakresie, w jakim ze mnie korzystał, nie stworzył mi żadnej kreacji, o której mógłbym powiedzieć, że wypowiedział się w niej ideał męski, Don Juan naszej epoki. Nie stworzył mi żadnej roli, którąbym lubił i która odpowiadałaby mi pod względem swej męskości. Z wszystkich sztuczydeł, w jakich grałem przez ostatnich lat kilka najbardziej jeszcze przywiązałem się może do roli hr. Mancini w „Tym, którego biją po twarzy“. W istocie była to nie gra, lecz orka. Grać naprawdę zacznę może od przyszłego sezonu.



Kwiaty filmu

Nagość na ekranie

Napisał
ANATOL STERN

Nagość, w wieku XX-ym, wieku, w którym sport stanął na szczytowych wyżynach, nieznanych niemal od czasów Grecji, gdy kult muskularnego ciała nabiera dostojności niemal religijnej — zdawałoby się — powinna królować na ekranie — tem ognisku współczesności. Panowie cenzorzy są jednak innego zdania, i oto czemu historyk, któryby chciał po paru tysiącach lat czerpać informacje z filmów dzisiejszych, naplótłby swoim współczesnym niemniejszych głupstw, niż to czynił niegdyś poczciwy Herodot. Gdzież jest ta czarowna rozwiązłość, która jest cechą jedynie wrzących temperamentów i silnych charakterów, wyszukana rozpusta, do której są zdolne jedynie wyrafinowane inteligencje i którą wiek nasz może się chlubić, jak żaden inny? Niema jej na ekranie, co gorsza, wstydzimy się jej w życiu. Zwalczanie pornografji w sztuce, oznacza dla mnie zwalczanie w sztuce rzeczy nie artystycznych. Ale *„Le jardin parfume"*, jako *privatdruk?* Parabosco i Rabelais pocentkowany kropkami? Film, z którego się wygania najlżejsze odcienie erotyzmu? Komuż to zawdzięczamy tę orgję purytanizmu?

Nie potrafimy już być nagimi. Jest to stwierdzeniem rozpaczliwej prawdy. Zauważyliście Państwo, jak chodzą, jak się poruszają na ekranie statyści, ba, bohaterowie, grający role patrycjuszów, niewolników, atletów? Ci ludzie wstydzą się swych łydek. Zabija ich brak inieksprymablów, odbiera im swobodę ruchów, pozbawia ich, rzekłbym, całego ich światopoglądu i indywidualności. Ci fanatycy inieksprymablów są do zniesienia w jednych tylko rolach — w rolach



męczenników: cierpienia ich są istotnie niepodrabiane i czarują naturalnością. Spostrzeżenie raczej psychologiczne, które jak sądzę, ma niepośledniе znaczenie praktyczne dla reżyserów.

W tych tarapatach ratują film współczesny — kobiety. Być może, są one w mniejszym stopniu obarczone tym gotyckim wstydem, którego balast dźwiga brzydsza połowa rodzaju ludzkiego. Możliwe też, że należy to tłumaczyć poprostu bogatszą praktyką kobiet, bardziej, niż mężczyźni przyzwyczajonych do rozbierania się i do tego, aby je rozbierano. Nie chcę szukać przyczyn

tego zjawiska: dość, że kobiety są dziś jedyną żywą, czarownie wibrującą apologją nagości w filmie. Ci, którzy widzieli p. Kowanko, premjowaną, wyśmieją mnie i będą mieli rację: ta dama o bardziej niż Rubensowskich kształtach powinna się pokazywać nago jedynie swemu mężowi i garderobianej, jeśli ich posiada i jeśli ludzie ci nie są w stanie ujść przed tą torturą. Ale przypomnijcie sobie cudownie kształtną Rinę de Linguoro, „Messalinę“ oddychającą gorącem tchnieniem kobiety południa, nieposzlakowanie rasowej. Lię de Putti, której pierś, talja i nogi składają się na wcieloną pokusę, której każdy ruch podkreślony jest figlarną zmysłowością. Bohaterkę „Królowej wężów“, partnerkę przyszłego bohatera „Paramounta“, unoszącą się z obłocznej piany? I tyle innych, których nagość bez zarzutu tak wspaniale harmonizuje ze stalową geometrją limuzyn i transatlantyków! Których zmysłowość tak świetnie odpowiada zmysłowym, drżeniom świateł, wibracji zdjęć, gwałtowności przejść pomiędzy planami w filmie, tej najbardziej zmysłowej sztuce, jaką kiedykolwiek mogła się ludzkość rozkoszować.

Oto czemu tęsknię do filmu idealnego, nad którym by nie ciążyła żadna inna ręka, prócz ręki nieustraszonego reżysera: filmu granego przez nagich ludzi i przez maszyny.



Sennik Egipski

(gawęda z erotopsychologji mas)

Napisał S. P.

W ścisłem tego słowa znaczeniu: sennik egipski. A więc mała książeczka na bardzo lichym papierze i jeszcze bardziej tania. Wydana może u p. Feitzingera w Cieszynie, zato sprzedawana wszędzie: na deskach każdego wędrownego sklepu z pocieszeniem dusz: kantyczkami, myrrką i kadzidłem.

Kupują wszyscy (nie koniecznie wszystkie). Prócz rąk grubych od pracy na polu, czy czarnych od pocięgła, wezmą „Sennik egipski", w wielkiem ukryciu i wypieszczone, wycałowane, wymanicurowane łapki, aby wyczytać do rozstrzępienia. Bo czy ci cała kultura, cała wiedza da odpowiedź na tak blisko powierzchni zakopaną tajemnicę, a przecież tak boleśnie ukrytą, czy imię twe wyszepcą dziś w nocy roztęsknione, nieucałowane usta?

Poco głowić się, kto jest praojcem sennika, który czytasz na odpuście w Kocmyrzowie? Czy naprawdę sztuka wielkich onejromantów, których symbolizuje starozakonna gadka o Józefie, wzmianki pobożne poetów greckich o różnych Kalchasach, tłumaczących sny „pochodzące od bogów", przeszły do skarbca jarmarcznego okultyzmu współczesnego? Czy w Babilonie układacze talmudu nauczyli się od Chaldejczyków rozwiązania tajemnic, które potem powędrowało z księgą Kabbały do ghett europejskich? Czy może poprawiacze pierwszego chrześcijaństwa, czy gnostycy, lub tradycyjni czciciele cudotwórcy Apolloniosa z Tyany dosypali magom Krzyża do ich recept niebieskich i tę aspirynę na boleści ziemskie, jaką jest wróżenie sobie z snów?

Obojętne. Fakt, że większość wiedzy sennikowej musiała zrodzić się gdzieś koło Neutitschein, tam gdzie nasze „najtyczanki", albo Pilzna, rodzącego „pilzner", gdyż inaczej trudno przypuścić, skąd się wzięła taka mądrość życiowa, że huzar jest „dla panien — niebezpieczeństwo, dla mężatek — roztargnienie", a drukarnia — „niepotrzebne kłopoty", w końcu „adwokat — duża strata". Przecież tak głębokich spostrzeżeń nie przynieśli bafometyczni rycerze Świątyni Grobu!

Dziś gdy prof. Freud i jego 12 myrjad apostołów dzielą sny na seksualne i wykładające się seksualnie, nie trudno z sennika wyszukać symbolizm, symbolizm ludowy, zrobić zeń naiwny słownik symbolów erotycznych. Ale pocóż tak daleko? Przecież to tak proste: Asocjacja. Każde wyobrażenie dostrzeżone, pomyślane, przywodzi na pamięć drugie. Tylko u różnych ludzi bardzo różne rzeczy z sobą się wiążą. Co gorsza — to tertium comparationis. Dla

funkcjonarjusza policji litera T przypomina dwuramienną szubienicę, człowiekowi kulturalnemu okładkę Turgeniewa (w wydaniu „Ateneum“).

Autor sennika musiał do każdego pojęcia z swego repertuaru myśli dorabiać „przyszłość“ ; cóż mu więc wiązało się? A autor to był nielada. Myślał nie tak jak myślą nauczyciele muzyki, poeci z urzędu podatkowego lub stare panny z pensją. Myślał tak, jak myśli miljon, bardzo wielokrotny miljon.

Przedewszystkiem jest to światopogląd kat'exochen — staroświecki. Tedy „aktorka — przemijające rozkosze“. „Kochać się w aktorce — nieszczęście“. „Balet — rozpustne rozrywki“. Ile tu oburzenia pacanowskiego! (innych zdrożności na „B“ nie znalazłem w egzemplarzu mej bibljoteki). Ah, jeszcze: „aktor — uciechy rozmaite“. Pamiętajcie, panie, które cierpią na monotonność menu miłosnego. Również na sport patrzymy się przez rurę od barszczu: „Amazonka — przeniewierzenie w małżeństwie“.

W więcej legalnych ozdobach życia „Sennik egipski“ nie widzi też nic wzniosłego: „bukiet — przemijające rozkosze“ (och te „ przemijające“ stale!) „cukierki — próżne i śmiechu godne miłostki“, czyli, że do bram serca zapuka raczej złoty osieł, niż wonny i słodki podareczek.

Praktyka miłosna znalazła uwiecznienie w następujących wróżbach: „Całować — lekkomyślność, uwieńczona pomyślnym skutkiem! „Czosnek jeść — niepomyślny skutek w miłości!

Bierz ją w pół i całuj, ach całuj, tylko przedtem nie jedz czosnku.

Co wart Nietzsche, jeśli „Sennik egipski“ głosi: „Bić — szczęście w miłości, spokój w małżeństwie“?

A jeżeli Schopenhauer mówi, że powaby kobiece są zasłoną maji, rzuconą na naszą wolę tworzenia dalszych generacji, cóż to jest, jak nie wyrocznia: „Biodra wydatne — piękne potomstwo.

Zdrowy, niski, jędrny rzut oka na miłość wieje z każdej kartki tej multilektury. „Chatka, spotkać się w niej z kimś — radość i pociecha; być samym — hańba! „Chłopiec bawiący — dobra miłość; goniący za drugiem — złe towarzystwo!

Zdaje się, że *gros* czytelniczek uważa za coś bardzo złego gonienie — za innemi. Ale musicie się zmartwić. „Białogłowy — kłótnie i plotki“. Wy nas obgadujecie, a my się o was kłócimy.

Lecz dość liter A.B.C. Na każdej stronie wyczytasz, co zwyczaj i obyczaj mas strzegł w miłości.

Nie chce mi się dalej pisać. D „Dziewczyna płacząca — spełnienie życzeń! Jakie to i smutne i głębokie — i pocieszające!

Póki przez ciebie, ani razu nie zabłyśnie łza w oczach, to cóż warta cała gra? Ale gdy raz potoczył się najdroższy z djamentów, oby spełniły się życzenia! Sennik z niedziwną megalomanją łączy: „mężczyzna szczęście“, tylko nie mówi — który...



Feliks Krasowski — Łabądź i Leda

O zazdrości męskiej

Napisał
FRANZ BLEI

Opowiadają o p. B. poza jego plecami, że zastał pewnego razu niespodzianie swą żonę aż z czterema kochankami. Sam fakt kochanków nie zdziwił go bynajmniej, zdziwiła go natomiast ich ilość... spodziewał się bowiem pięciu. Kiedy ze swego ukrycia, o którym zresztą żona jego doskonale wiedziała, ujrzał tych czterech, powiedział do siebie: dwóch, trzech, czterech kochanków. A zatem jest ona teraz po czterokroć kobietą. Muszę więc stworzyć w sobie aż cztery istoty, aby nasycić ją miłością. Jest to bardzo prosty rachunek: cztery kobiety wymagają czterech mężczyzn, cztery zaś kobiety w jednej wymagają czterech mężczyzn w jednym. Niema w tem nic dziwnego.

Powody męskiej zazdrości są bardzo banalne. Obawa przed porównaniem np., która powoduje obstawanie przy dziewictwie żony. (U innych ma to inne pobudki). Kiedy kobieta zna tylko jednego mężczyznę, nie zna właściwie żadnego i musi się pocieszyć tą dobrą wiarą, która często wyradza się w przesąd, że wszyscy mężczyźni są jednacy. Dla wielu zazdrosnych małżonków ten przesąd żony jest rzeczą bardzo wygodną. Mniej banalnym powodem zazdrości mężczyzny jest jego dobry smak. Są kobiety, które przez niewierność stają się karykaturami, ponieważ do twarzy im jedynie z wiernością. Mężczyzna nie znosi u swej żony złego smaku i na tem polega właśnie jego zazdrość. Również brak fantazji u mężczyzny jest często powodem jego zazdrości: nie może sobie niczego wyobrazić i dlatego się wścieka. P. B. posiadał w wysokim stopniu przeciwieństwo takiego braku fantazji. To, że opuścił on swą żonę, gdy doszła do siedmiu kochanków, nie mogąc się z nimi dalej mierzyć, było wynikiem jego osobistego braku talentu, nie zaś błędem w poprzedniem obliczeniu. Że zazdrość może być również środkiem podniecającym, wskazuje na to historja starego męża młodej żony. Zaprosił on do siebie na wieś swego młodszego przyjaciela, ten zakochał się w jego żonie, ona zaś jeszcze się wahała. Przy pierwszej ich bardzo niewinnej rozmowie — trzymał ją tylko za obie ręce — zaskoczył oboje mąż. Przyjaciel

opuścił natychmiast wieś i oczekiwał wyzwania. Otrzymał jednak tylko list męża tej mniej więcej treści: „Ponieważ i ten środek nie odniósł pożądanego skutku, nie pozostało zatem nic innego“. Mąż zastrzelił swą ukochaną żonę, a następnie siebie, niemniej przez nią ukochanego.

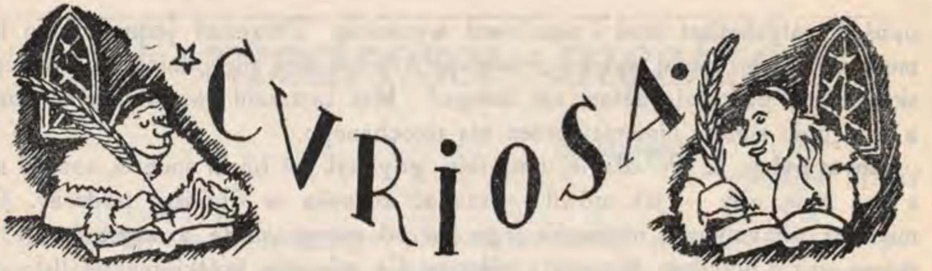
Innym był p. L. Po długiej chorobie, gdy był już bliski śmierci, rozstał się z swą żoną, aby — jak mówił — szukać zdrowia w dłuższej podróży. Co miesiąca otrzymywała małżonka jego list od swego męża z zagranicy, z za morza, raz z południa, to znów z północy. Co miesiąca krótki piękny list i to przez 11$^1/_2$ lat. Ostatni nadszedł dokładnie w dzień jej 45 urodzin: Piszę to w godzinie mej śmierci, która dosięgła mnie nie niespodzianie w 8 dni po naszym rozstaniu. Przez ten czas napisałem do ciebie 137 listów i wysłałem je tym, którzy je mają pod tym adresem co miesiąca odsyłać. Ten jest numerem 138 i niestety ostatnim. Otrzymasz go, gdy ukończysz 45 lat, a p. N, z którym mnie zdradzałaś, nie ożeni się już z tobą, coby z pewnością był uczynił po roku twego wdowieństwa, przed 11$^1/_2$ laty. Umieram spokojnie w przeświadczeniu, że przeszkodziłem ci w tem, byś swą niewierność usankcjonowała przez małżeństwo. Ten szalony egoizm umierającego sprawił rzeczywiście, że biedna kobieta sądziła nieustannie, iż oszukuje swego męża wówczas, gdy ten już od 11 lat nie żył. A więc przecież nie umarł. Ponieważ w dwa tygodnie przed nadejściem Nr. 138 zmarł jej kochanek, znalazła się ta pani naraz w bardzo dwuznacznej sytuacji żałobnej.

Więcej niż wszystkie inne tragedje ma w sobie zazdrość swoistego komizmu. Kiedy Lord Abercon dowiedział się, że żona jego właśnie uciekła z kochankiem, przesłał jej natychmiast do użytku swój powóz, ponieważ uważał za niewłaściwe, aby którakolwiek lady Abercon jeździła powozem wynajętym.

Pewien bankier natomiast dowiedział się w Londynie, że żona jego w Wiedniu wyjeżdża codziennie na spacer ze swym kochankiem i to najlepszą parą koni. Rozkazał przeto swemu służącemu Józefowi napisać do swego stangreta Antoniego, by używał do tego parę starych siwków, które do tej służby są jeszcze dość dobre.

Obok tragedji zazdrości z ich wiecznie jednakowymi perypetjami: zabójstwami i samobójstwami nie chciałoby się pominąć tych wspaniałych warjacji, których przykładem są właśnie owi dwaj panowie, gdyż przysługują się one niewątpliwie sprawie obyczajności.

Przekład z niemieckiego *D. A.*



W nieprzebytych winnicach ciała kobiecego, uprawianych przez wieki z nieustającem zamiłowaniem przez trubadurów, poetów, myślicieli i alchemików, jak kwiaty dziwaczne, zasuszone, a wonne, napotykamy co krok ślady rylca zbożnych ogrodników, utrwalonego przez nich w tym najbardziej nieprzemijającym z marmurów. Jak dziwne, urywane wersety wielkiej zagubionej książki mówią one nam przyciszonem szeptem o wieczności upojenia, walce, zwycięstwach i klęskach, których przebiegu napróżno szukalibyśmy u oficjalnych owej epoki kronikarzy.

Tyle ich jest dziwnych, niewytłumaczonych kwiatów, którymi raz na sto lat zakwita najpłodniejsza z winnic — winnica miłości..

Pójdźmy je zbierać mała, słodka przyjaciółko, my, którzy wiemy dobrze, że radość upojenia jest jedynie procentem sumiennie spłacanych lichwiarce-przyrodzie wierzytelności, my wielcy wtajemniczeni, wyżsi nad miłość i nienawiść nieucywilizowanej płci, biedna para zabłąkańców, których ciała pod niezliczonymi maskami nazawsze upływających chwil przestały być już dla siebie wiecznem objawieniem i niespodzianką...

* * *

Stary Korneljusz Agrippa wielki miłośnik kobiety, jej kapłan i chwalca w książce swej, poświęconej Małgorzacie Austrjackiej i przez nią podobno zainspirowanej, maluje nam następujący obraz „rodzaju kobiecego", niezrównany w swej plastyce i soczystości:

„Człowiek jest dziełem przyrody, kobieta jest dziełem samego Boga; bardziej też niż w mężczyźnie jaśnieje w kobiecie obraz boskiej wspaniałości. Niekiedy ukazuje ona ją całkowicie i oto czemu jej wdzięki wzbudzają w nas żywy podziw.

„Ostatecznie piękność nie jest niczem innem, jak splendorem Boga i jego światłości, roztaczającej się nad wszechstworzeniem i właśnie ciało kobiece, a nie męskie jest tem, które ten boski odblask za siedzibę swą wybrał; pieszczotliwe ciało kobiece jest we wszystkich swych częściach miłe dla oczu i dla dotyku. Ciało jej jest bardziej delikatne, karnacja jaśniejsza i czystsza, skóra gładsza, zachwycająca fryzura, która ozdabia jej głowę, utwo-

rzona jest ze świecących włosów, ciężkich i obfitych, oblicze jej tworzy owal mniej okrągły, niźli u mężczyzny i przedstawia widok bardziej ponętny. Nic nie ma równego piękności jej twarzy, szyja jej jest biała, jak mleko, czoło wyniosłe, szerokie i błyszczące, wdzięk i rozkoszna wesołość potęgują iskrzące się spojrzenie jej oczu, nad którymi roztacza się misterna arka dwojga brwi, oddzielonych od siebie należytym odstępem. Z pomiędzy tych brwi linją prostą i regularną spada nos, pod którym rysują się szkarłatne usta z dwiema subtelnymi i symetrycznymi wargami. Słodki uśmiech, jaki je rozchyla pozwala dojrzeć wewnątrz drobne zęby regularnie rozmieszczone i olśniewające białością kości słoniowej; na delikatnych i krągłych jej policzkach rumieniec roztacza czar wstydliwości; zaokrąglony podbródek ozdobiony jest czarującym dołkiem; głowa wznosi się na cienkiej, wysmukłej szyji, wykwitającej z pomiędzy zaokrąglonych ramion; na piersi szerokiej, pełnej i wydatnej wznosi się para piersi kobiecych, równych i twardych; podobnie jak piersi, brzuch jej jest pełny i zaokrąglony; boki giętkie, plecy złączone i proste; ręce długie, dłonie o kształcie owalnym, palce wydłużone o stawach cienkich, uda i biodra bogate i szczodre, lędźwie mięsiste, a zakończenia rąk i nóg zaznaczone linją półokrągłą i wytworną.

„Każdy z członków ciała kobiecego pełen jest jędrności, chód jej, jej kroki są jak najbardziej odmierzone, poruszenia jej pełne gracji, gesty pełne wyrazu. Pod względem symetrji formy i piękna swego ciała pozostawia ona daleko w tyle wszystkie inne stworzenia, jest zjawiskiem najbardziej zachwycającem, cudem najrzadszym i trzeba być chyba ślepcem, aby nie przyznać, że Bóg wybrał dla kobiety wszystko, co świat posiada najpiękniejszego, by całe wszechstworzenie złączyło się na jej widok w zgodnym chórze pochwał i ubóstwienia; widywano niejednokrotnie duchy niematerjalne: aniołów i demonów, gorejących z miłości ku niej. Wszystko to zaś nie jest bynajmniej fałszywym świadectwem, gdyż dowodzi tego wiele przykładów“.

* * *

Jednym z takich przykładów, dowodzących równocześnie, iż to powszechne ubóstwienie i podziw mają również swoje kłopotliwe strony, jest garść rad, jakie napotykamy u podtatusiałego przyjaciela kobiety i jej powiernika, sprośnego Brantôma, dotyczących sposobów pozbycia się zbyt natrętnego adoratora. Sposobów takich Brantôm podaje aż ośm. O ile można sądzić z powierzchownej obserwacji, najbardziej przyjął się wśród pań sposób siódmy. Aczkolwiek wszystkie te środki są niewątpliwie przy umiejętnem i konsekwentnem ich stosowaniu — niezawodne, każdy nieuprzedzony przyzna, że ostatni z nich posiada bezsprzecznie najwięcej siły przekonywującej.

Przytaczam je tu w dosłownem brzmieniu:

„Środki pozbycia się kochanka:

1. ośmieszać i wyszydzać jego przyzwyczajenia i braki,
2. mówić o rzeczach mu obcych,
3. obrażać jego miłość własną,
4. sprzeciwiać mu się przy każdej sposobności,

5. przedrzeźniać jego słowa i gesty przed jego przyjaciółmi,
6. prosić go natarczywie o to czego dać nie może, lub na co nie może się zgodzić,
7. oszukiwać go z jego przyjaciółmi,
i wreszcie
8. wyrzucić go, jeśli to wszystko, cośmy wyżej wyliczyli nie zdołało dostatecznie ochłodzić jego miłosnych zapałów".

* * *

Wiadomo powszechnie, jak wielką rolę odgrywa w miłości rasa. Charakterowi jednego narodu odpowiadają bardziej jedne formy taktyki i strategji miłosnej, charakterowi innego — inne. Studja porównawcze nad tem, co nazywamy temperamentem kobiet w zależności od ich rasy i przynależności narodowej są już zbyt popularne i jako takie, nieścisłe.

Dla pań naszych niewątpliwie ciekawem będzie świadectwo, jakie wydał o nich pewien francuz, wielki donżuan i podróżnik, przebywający przez jakiś czas na dworze polskim za króla Stanisława Augusta. Nazwisko tego podróżnika zamilczymy przez solidarność koleżeńską, pomimo bowiem, iż człowiek ten, jak łatwo się domyśleć, dawno, już nie żyje, zemsta kobiety obrażonej jak mawiał, któryś z mędrców indyjskich, ściga winnego, aż po dziesiąte pokolenie.

Otóż Francuz ten, gdy po powrocie do Paryża zapytano go, jak znajduje Polki i jakie szczególne cechy odróżniają je od Francuzek, odpowiedział w sposób następujący:

„Francuska, moi przyjaciele, jest kucharką w kuchni, panią w salonie i kokotą w łóżku. Na tem polega jej czar i wyższość nad innymi kobietami.

Polka natomiast jest zazwyczaj panią w kuchni, kokotą w salonie, a niestety kucharką w łóżku".

Na usprawiedliwienie swe zaznaczam, iż z określeniem francuskiego donżuana bynajmniej się nie solidaryzuję, uważając je za nieścisłe i podyktowane przez szowinizm i jeśli za czasów Stanisława Augusta było ono może nawet słuszne, to jest rzeczą niezaprzeczalną, że od owego czasu polki skorzystały pod pewnymi względami niesłychanie wiele. Wystarczy zapytać o to bawiących przy naszym obecnym rządzie Francuzów, którzy podobno bardzo je sobie chwalą.

* * *

Inną zupełnie cechę polki, nie mniej zresztą ciekawą, podkreślił współczesny wspomnianemu Francuzowi nasz wybitny poeta Tomasz Kajetan Węgierski. Cechą tą jest, jakoby ich specjalna zachłanność erotyczna.

Przytaczam poniższy wierszyk w imię powagi klasycyzmu bez komentarzy. O słuszności jego lub niesłuszności niechaj rozstrzygną nasze panie same.

* * *

DWA WRÓBLE

Ongi z Jagusią moją w gaiku
Siedliśmy sobie pod drzewem
Tam miły zefir w lubym chłodniku
Bawił nas swoim powiewem.
Raz zerwał chustkę z piersi Jagulki,
Drugi raz igrał z włosami,
A raz też podniósł trochę koszulki
I pokazał coś nad kolanami;
Jam prędko sobie oczy zasłonił,
Bo mi ksiądz na to patrzeć zabronił.
Tak się więc w cieniu tym zabawiając,
Nie wiem jakeśmy postrzegli,
Że między liściem gęstym igrając
Dwa wróble z sobą się zbiegli;
Mniej uważałem na to ciekawy,
Jagusia tym się bawiła,
I rozkosznej onych zabawy
Trzydzieści i trzy razy naliczyła.
W tym jeden, wzniósłszy skrzydełka, uciecze;
Niepodobało się to mej Jagusi:
Ten, co uleciał, — z gniewem do mnie rzecze, —
Przysięgam, samiec być musi.

* * *

Skrupulatny Larousse notuje w swej wielkiej encyklopedji następujący epizod świadczący niewątpliwie na korzyść niesłusznie pospolitowanych kobiet bałkańskich, tem cenniejszy, że pochodzi z ust tak skrzętnego i bezstronnego uczonego:

„W Serbji kobiety ubierają się bardziej niż lekko. Zwyczaj każe, aby każdego cudzoziemca, proszącego o gościnę, częstowano konfiturami. Otóż pewnego dnia podróżnik, oczarowany piersią dziewczęcia proponującego mu konfitury, zostawał pogrążony w tej przyjemnej kontemplacji z górą pół godziny, w przeciągu której zdążył zjeść cały garnek konfitur, wcale tego nie spostrzegłszy".

* * *

Tenże Larousse donosi, iż „odbywają się tam na cześć cudzoziemców przeróżne uroczystości. Kiedy tańczą kolo, taniec narodowy, cudzoziemiec zostaje umieszczony pośrodku koła; wszystkie kobiety otaczają go i może je dowoli podziwiać, a nawet, jeśli ma ochotę, zbliżyć się do najpiękniejszej z dziewcząt i dotknąć ręką skarbów, tak swobodnie roztaczanych przed jego oczyma. Dalecy od tego, by się nań gniewać, ojcowie, bracia i mężowie przeciwnie są z tego dumni".

* * *

dlaczego właściwie przyjął się przesąd, powtarzany z uporem przez niektórych uczonych, że narody bałkańskie są narodami o niskiej kulturze?

Porównajmy co w tym samym czasie pisano o najniewinniejszym dekolcie w zachodniej Europie:

* * *

„Dekoltowanie się? Przestępstwo przewidziane przez kodeks karny; podniecanie maluczkich".

Q. de Beaurepaire).

* * *

Pewien stary autor francuski, którego nazwisko wraz z kartą tytułową wyleciało mi z pamięci podaje następujący przepiękny i prawdziwie poetycki opis tego przestępstwa, który sam przez się mógłby się już stać całkowitem jego usprawiedliwieniem:

„Niemądrze czynisz Małgosiu, trzymając w ciemnicy tych dwoje młodych niewiniątek, które nie popełniły przecież żadnej zbrodni. Zapewniam cię, że znoszą tę samotność wbrew własnej woli. Mimo linji, jaka je rozdziela, dostrzegam, że wzdychają pełne smutku i pęcznieją ze złości. Kiedy byłaś dzieckiem, karmicielka twoja nie wstydziła się przecież pokazywać cię nago, czemuż więc lękasz się pokazać nam tych dwoje dzieciątek, które wszakże nigdy nie są piękniejsze, niż wówczas, kiedy są odkryte. Piersi twe, zrozumiej to, staną się tem więcej okrutne, im dłużej będziesz je trzymać w zamknięciu, a jeśli tylko w więzieniu swem natrafją na jakąś szparę, wyrwą się przez nią w furji, aby zamordować pierwszego, kto je spostrzeże. Czyż więc nie lepiej obdarzyć je zupełną swobodą, bowiem, jeśli się je obłaskawi dobrocią, staną się z pewnością mniej niebezpieczne".

* * *

Ten, dla kogo głos poety nie jest dostatecznym autorytetem niechaj posłucha, co mówi w tej sprawie uczony:

„Piersi przedstawiają czynnik erotyczny, jedynie dla człowieka cywilizowanego. U dzikich nie odgrywają one tej roli nigdy. Piersi dla narodów dzikich mają w sobie tak mało ero-

tyzmu i tak całkowicie przeznaczone są do spełniania funkcji macierzyńskich, iż, jak to stwierdza znany podróżnik Robecchi, Europejczyk, któryby igrał z piersiami Afrykanek lub Abissynek, wywołałby podobny efekt, co u nas człowiek, wykazujący zaborcze intencje erotyczne w stosunku do kobiecego nosa".

(Lombroso).

* * *

Cechy zewnętrzne od których różni uczeni i pisarze uzależniają procent energji erotycznej u kobiet różnych ras i narodowości są tak wielorakie, że niepodobna je wszystkie wyliczyć. Jednym z popularniejszych kryterjów w tej dziedzinie jest rzekomo barwa włosów kobiety, przyczem przewagę pod tym względem przypisuje się prawie jednogłośnie, najniesłuszniej brunetce.

Lermina mówi:

„Blondynka pozwala się ubóstwiać, brunetka przyzywa miłość i prowokuje ją".

„Blondynka jest boginią, brunetka — zapaśniczką".

Wszystkie jednak najzawilsze subtelności, jakie mówiono na ten temat prześcignął uczony francuski XVI wieku Valentinus, który pozostawił nam dokładny wykaz ilości włosów kobiecych w zależności od ich barwy.

Według niego:

„Blondynka posiada na swej głowie	140.400	włosów
Szatynka	109.440	„
Brunetka	102.965	„
Ruda	88.940	„

Siwiznę najwidoczniej uważał uczony ten za stan pochodny, nie podlegający obliczeniu. Nie uwzględnia również kobiet łysych.

* * *

Niema nic czarowniejszego nad szperanie w starych, zakurzonych kronikach. Drzemią w nich prawdziwe perły dowcipu i pikanterji przypruszone patyną wielowiekowei powagi, otwierające się przed tym, kto je umie wyszukać.

* * *

Jak donoszą kronikarze, zima r. 1608 była wyjątkowo surowa.

Piotr Matieu notuje, iż Henryk IV wstawszy rano, opowiadaj, że wąsy jego przymarzły do łóżka i to obok królowej.

„Coprawda" — zauważa nie bez złośliwości Saint Foix, — była to przecież jego żona".

* * *

Licząc posag swej córki, m-me de Savignée zawołała: „jakto, mam więc tyle zapłacić panu de Grignan za to, że będzie spać z moją córką?!" Zastanowiwszy się jednak, dodała: „tak, lecz będzie on spał z nią jutro, pojutrze, po wszystkie noce — żadna suma nie jest za to zbyt wielką zapłatą!"

Ze świata książki

Eros na Olimpie

Na witrynach księgarskich ukazała się nowa książka świetnego pisarza, subtelnego znawcy klasycyzmu Jana Parandowskiego „Eros na Olimpie".

Książka ta zawiera 11 rozdziałów: Eros na Olimpie -- Najjaśniejszy satyr — Cudowne jaje — Czar-ziele — W sieci — Romans z bykiem — Amfitrjon — Trzynasta praca Herkulesa — Syn drzewa — Dziwna historja o bożku Panie — Zwycięski pochód Dionizosa.

Są to przygody miłosne bogów i bohaterów greckich oparte na mało znanych mitach.

„Eros na Olimpie" wydany nakładem firmy H. Altenberga w objętości sporego tomu (przeszło 200 str.) jest wzorem książki prawdziwie wytwornej. Doskonały papier, piękny krój czcionek, czternaście wspaniałych ilustracji na oddzielnych planszach składają się na całość wyjątkowo skończoną i pełną smaku.

Na naszym rynku księgarskim pojawienie się tego rodzaju książki jest ewenementem pierwszorzędnym, który niezwłocznie sygnalizujemy.

Okładkę 1-go numeru projektował Feliks Kowarski.

Redaktor naczelny: BRUNO JASIEŃSKI

REDAKCJA: Warszawa, Moniuszki 4, m. 20. Telefon 144-74 od godz. 18-19.
Kraków, Czarnowiejska 1, parter.
Lwów, Zimorowicza 5. Telefon 13-13.
CENTRALA ADMINISTRACJI: Lwów, Zimorowicza 5. Telefon 13-13.

ATENEVM
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE